

Zbigniew Wawszczak

## Kańczuga u progu... lat tłustych

Bibliotekę, umieszczoną na parterze niewielkiego domu, tuż przy rynku, gdzie mieści się również Prezydium MRN, zachowałem w pamięci. Byliśmy w miasteczku przed kilku laty, wraz z nieodżałowanym dyrektorem biblioteki wojewódzkiej, mgr Stanisławem Piziakiem. Biblioteka miejska w Kańczudze nie zmieniła swego lokum, jak dawniej ciasno tu i pachnie wilgoć. Ale miasteczko bardzo się zmieniło w ciągu ostatnich lat. Już na pierwszy rzut oka dostrzec można te zmiany: uporządkowany rynek z ogromnym klombem pośrodku, czderwieniejące mury domu handlowego, nowe tynki, nowe domy...

Pani Wanda Kuryło prowadzi, jak przed laty, bibliotekę. Pracuje w niej zresztą od 11 lat, i jak przystało na absolwentkę kańczudzkiego liceum (z którego miasteczko jest dumne), z każdym rokiem doskonalą swoją robotę. Dzięki jej wysiłkom, w Kańczudze czyta się dużo, bardzo udają się organizowane od czasu do czasu spotkania z pisarzami (niedawno rozmawiałem ze znanym krakowskim pisarzem, Tadeuszem Hołujem, który o swoim pobycie wśród kańczudzkich czytelników wyrażał się w samych superlatywach). Ze nie są to jedynie głośne pochwały, świadczą liczby: w ubiegłym roku biblioteka kańczudzka zarejestrowała 450 czytelników, co stanowi 25,6 procent ogółu mieszkańców.

... traktat o „dobrej robocie”

Nie tylko biblioteka, lecz coraz więcej instytucji, odpowiedzialnych za rozwój Kańczugi zaczyna ubiegać się o zaszczytne miano placówek „dobrej roboty”.

Na uwagę zasługuje tu zwłaszcza Miejska Rada Narodowa, która w okresie ostatniego czterolecia wykazała sporo energii w rozwiązywaniu żywotnych dla społeczeństwa problemów. Sekretarz prezydium MRN, Stefania Żurawska przyjęła mnie z urzędowym optymizmem, sięgnęła po programy wyborcze i zasympała liczbami, ilustrującymi dorobek ostatnich lat. Przyznam się, że impet, z jakim podjęta natarcie, mnogość rozmaitych wyliczeń, spraw zatwierdzonych, działań rozpoczętych — wprowadził mnie w zakłopotanie. Z trudnością nadażalem z notowaniem, prosiłem o powtórzenie tego i owego, a w skrytości ducha myślałem, że jeżeli istotnie tak od ręki, zdecydowanie i szybko rozwiązywane są życiowe kłopoty Kańczugi, to jest rzeczywiście miasteczko wyjątkowe...

Wieloletnie doświadczenie reporterskie kazalo mi patrzeć z pewnym sceptycyzmem na pozorną bezkonfliktowość i łatwość owych dokonań, jako że życie ma swoje prawa, twarde, nieublagane. Z drugiej strony przecież, nie zapomniałem o

tym, że pokonując trudności, tworząc nowe wartości — idziemy krok za krokiem naprzód, odbudowujemy nasz umęczony przez straszliwe wojny, kraj czynimy nasze życie piękniejszym, lepszym...

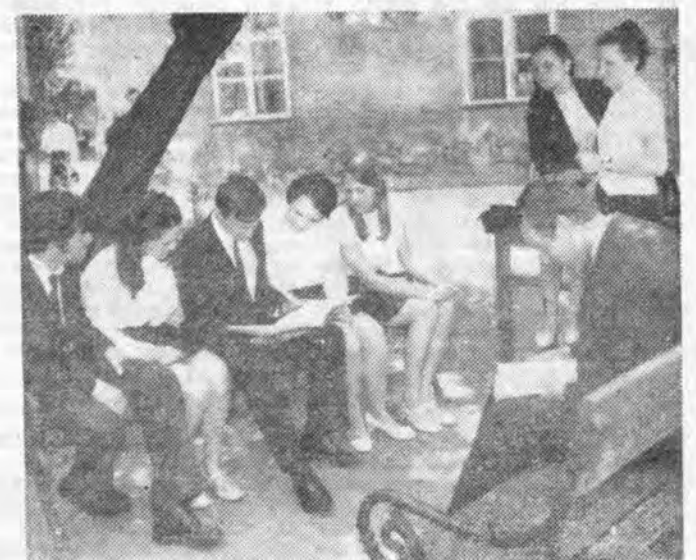
A przecież ten marsz naprzód, ta budowa lepszej przyszłości — nie wszędzie postępuje jednakowo. I nie zawsze jest uzależniona jedynie od wielkich nakładów, od milionowych inwestycji, których niepodobna lokować wszędzie, na każdym skrawku tej ziemi — ale od rozumu i pracowitości zwyczajnych, prostych ludzi, od ich gospodarności, od stopnia, w jakim potrafią wykorzystać własne i zapewnione im przez państwo środki. Przyjechałem do maleńkiej Kańczugi, aby zobaczyć, jak kierujący miasteczkiem ludzie wykorzystują szansę, którą otworzył przed krajem, przed 25 laty, nowy ustrój społeczny. Pojechałem na pasjonujący mnie zawsze zwiąd społeczny, skąd więc te na poły optymistyczne, na poły cierpkie refleksje?

Może właśnie zrodził je potok słów energicznej pani sekretarz Miejskiej Rady? Zwykle jestem bezbronny wobec kobiecych argumentów, toteż z otuchą przyjąłem nadejście mężczyzny o sceptycznym nieco uśmiechu i rudawej czuprynie. Był to Emil Burzyński, rodak tutejszy, kierownik szkoły pod-

(Ciąg dalszy na str. 2)



M  
A  
T  
U  
R  
A





Krystyna Swierczewska

# „By szaniec myśli był myślą stawiony”

Napisał te słowa wtedy, kiedy otwierała się przed nim szansa na dyrekturę Teatru im. Słowackiego, kiedy mógł być zastąpić Solskiego; był już wtedy cztery lata po „Weselu”, a zaledwie dwa dzieliło go od daty końcowej — 28 listopada 1907 r. Miał za sobą sezon zwany dziś sezonem Wyspiańskiego, lata 1902/1903 i trzy premiery: „Wyzwolenia”, „Protesilasa i Laodamii” oraz „Bolesława Śmiałego”, co razem z wcześniejszą premierą „Wesela” i pierwszą jego sztuką zagraną na tej scenie — „Warszawianką” przed pięcioma laty — czyniło z niego autora czterdziestu przedstawień na ogólną liczbę 238... I miał za sobą ów dzień 13 maja 1904 r., kiedy to przez swojego pełnomocnika zakazał dyr. Kotarbińskiemu grywania swoich sztuk; zakaz spowodował wcześniejszy zatarg z teatrem i obraźliwa replika na list Wyspiańskiego, którą zniecierpliwiony Kotarbiński, ani przeczuwając, że pociągnie za sobą zdjęcie wszystkich granych sztuk, pozwolił sobie nieopatrznie wyśtosować...

Wyspiański cierpiał, ale teatr bojkotował konsekwentnie. Chodzili mu po pokoju wszystkie osoby wszystkich dramatów — jak pisał — wrzawę czyniły, natłok, zaniepokojone były i czekały — ale i on czekał. Czekał obmyślając swój teatr „celem stworzenia stylu sceny i teatru, który był świadectwem kultury Miasta”. Kiedy jednak pojawiła się petycja artystów-malarzy, wydrukowana w prasie, zajmującej się wówczas żywo sprawami nowej dziedziny teatru i żądała powierzenia stanowiska reżysera artystycznego któremukolwiek z malarzy artystów, posiadających fachowe wykształcenie — Wyspiański zaraz dojrzał w tym atak przeciw jego kandydaturze i napisał ów słynny

wiersz, z którego zdanie pomieściłam w tytule:

...nie same szmaty teatru ozdoba,  
w słowie na scenie chcę mieć daną wolę.  
Nie o posadę staram się zyskowną,  
gdzie mój talencik byłby zapłacony;  
lecz chcę, by w dziele stworzyć myśl przytomną,  
by szaniec myśli był myślą stawiony.

— — — — —  
— — — służyć jestem gotów  
zaś służyć mogę tylko tam,  
gdzie rządzą.

Ponieważ nie mógł rządzić, ponieważ nawet w drobiazgach podlegałby wszechwładnej Komisji Teatralnej — więc na kilka godzin przed posiedzeniem Rady Miejskiej wycofał swą kandydaturę — i tak stał trzeci dyrektor, Ludwik Solski. Kiedy uroczystie inaugurował on sezon „Skarbem” Staffa 16 września 1905 r. — Wyspiański właśnie w tym dniu premiery uległ ostrému atakowi choroby.

Od niej więc, od daty co miała być etapem zwycięskim, miała uspywać szanę myśli, tworzyć nowe znaczenia słowa scenicznego, nie za talencik płacić, lecz myśl przytomną rozsyłać przed widzem — od tej daty Wyspiański przestał marzyć o teatrze ogromnym; przestał jednocześnie być malarzem i z ręką przywiązaną do deszczulek, umieszczony w przestronnej izbie w Węgrzyczach, stworzył jeszcze parafrazę cornelliowskiego „Cyda” oraz najdojrzalszą wizję „Powrotu Odyssa”.

Można tylko dzisiaj rozpamiętywać, co ominęło teatr krakowski wraz z rezygnacją Wyspiańskiego; można żałować, przypuszczać. Faktem jednak się stało nieodwracalnym, że ten geniusz teatru, najnowo-

cześniejszy z wizjonerów, pierwszy, który dostrzegł rolę inscenizacji, który domagał się scenografa w miejsce dykt z wieleńskimi ogrodami, który teatr widział najpierw jako królestwo słowa — nigdy tego królestwa nie urządził po swojemu.

Doczekał się natomiast swego roku i pierwszego festiwalu jego sztuk w rodzinnym mieście, w stulecie urodzin. Znowu w atmosferze gorąckiej i swoistej sensacji, jaką stały się owe dwa „Wesela”: jedno stare, sprzed lat Adama Hanuszkiewicza, drugie sprzed paru tygodni — Lidii Zamków. I jest jakaś ironia, podobna tej, która towarzyszyła prapremierze, że znowu padają stare słowa o szarganiu świętości i nowe o nieliczeniu się z zamysłem twórcy, o daleko posuniętej dowolności interpretacji. Ironia tkwi przede wszystkim w brązowaniu „Wesela”, w szukaniu wzniosłości tam, gdzie była pierwotnie żłośliwość i ostra kpina. Hanuszkiewicz zjeździł z „Weselem” pół Europy. Pół Europy, od Londynu po Moskwę i niezależnie od niuansów interpretacyjnych, jakie umykać musiały percepcji londyńczyków czy moskwićzan — zachwycało się tym „Weselem”, ja przez przekorę czytam sobie pierwsze jego rodzime recenzje, gdzie tak głośno mówiło się przeciw szopie narodowej, tak burczało o pływaczach, wręcz nieporozumieniu inscenizacyjnym. Wystarczyło jednak, że ułynęło parę lat i czas zrehabilitował spektakl w kraju. Dziś błyszczy dalej Hanuszkiewiczowy spektakl rytmem, skrzy się pamfletem, drwiną, urodą, serwując przy tym publiczności pyszne aktorstwo. Dziś, gdy przesuwa się przed nami obrotowa scena szopki, gdy w finale zastygły w bezruchu postacie sennie i zwolna poczynają kolować wraz ze sce-

na — ten ruch monotony szopki więcej mówi o niemocy bohaterów niż zjadliwa ironia chochołowych słów. Tak i uznaliśmy tę inscenizację — tylko, powtarzam, trzeba nam było zostawić trochę czasu.

Z „Weselem” Lidii Zamków jest inaczej. Jest świeże, a przy tym jak wszystkie spektakle Zamków — odważne; jest długie, przywracające wbrew tradycjom ostatnich lat niemal wszystkie sceny niegrywane, nieco je tylko porządkujące, przedstawiające, zresztą zgodnie z logiką szukania najprostszymi sensów dramatu, boleśnie ironiczne, bijące wyraźnie w ton patriotyczny, a jednocześnie odatte z misteryjnego aktu II, gdzie widma stają się sennymi majakami, zmęczonych weselom gości. Nie ma w nim Chochoła, co i mogłoby trochę szokować, gdyby nie było konsekwentną inscenizacyjną; bo i jakże tu wpuścić w realny świat weselników siołmianą uludę? Ten otwierający dwuwiersz „Co tam, Panie, w polityce?” przesunął się o parę scen dalej, Rachela jest nieco lekliwą panną, wrażliwą na poezję — nie, jak dotąd, rozgadana, demonizująca pseudo-erudytka, Gospodarz urósł do roli prym wiodącej, a rzecz cała odbywa się w męczącym, upartym drumieniu muzyki weselnej, która odmierza rytmy, nadaje tempo i tworzy bliski doskonałości kontrapunkt dramatycznego słowa i pozatekstowych, scenicznych już środków. Spektakl jest głęboko przemyślany, nastawiony nie na plotkę o „Weselu”, lecz na ów szaniec myśli, który usypał Wyspiański pod osłoną bronowickich piasów. Nie licząc się z obrozą tradycji, nie chyląc czoła przed egzegezami Zamków szuka Wyspiańskiego żywego, niespokojnego, protestującego przeciw wszelkim samozadowoleniom, przeciw pozorom, przeciw bełkotom o Czynie, pisany przez duże c.

I Lidia Zamków stara się nie pamiętać, że pod bokiem są Bronowice, że żyją jeszcze rodziny Tetmajerów, Rydlów, wnuczki Wyspiańskiego; że żyją także potomkowie Radczyń, że są, nieliczni ale są, uczestnicy prapremiery Wesela, że gdzieś w Londynie mała Isia, z domu Tetmajerówna, mogła widzieć gościnnie wędrujący zespół Teatru Powszechnego. Namietności jednak dają znać o sobie. Rodzi się nowa, bo Anno Domini 1969 plotka o

„Weselu”; mnożą się wątpliwości, czy aż tak autonomiczny spektakl nie jest przeciw Wyspiańskiemu. Jedna z wnuczek grozi nawet procesem. Zwolennicy Lidii Zamków powiadają, że jest to jeszcze jeden dowód na współczesność „Wesela”, że jej inscenizacja jest antytezą teatru muzealnego, jaki nam wielu inscenizatorów proponować zaczyna ku naszemu przerażeniu. Przeciwnicy nie wybierają miejsc do protestów: samam stoczyła niebagatelną batalię u Wierzyńka z przemijem, aczkolwiek nieprzejmowanym dla Zamków gronem...

A na drugi dzień rano, kiedy Kraków pawił się w słońcu, zatoniony zielenią, pojechałam do Bronowic Małych, by naoźnie rzecz skonfrontować w Rydlówce. Jakaż być może jednak konfrontacja po latach, gdy chata, a właściwie dworek pustką zieje? Zostaje miejsce tylko dla historii i dla wyobraźni. Toteż stanęłam chwilkę w drzwiach wiodących z alkierza do izby weselnej, oparłam na moment głowę o futrynę i spróbowałam wyobrazić sobie poetę, trzeźwego zapewne, bo pić nie lubił i bolała go po tym głowa, jak stał tu całą noc, a chata dudniła oberkami, kurzyło się z czupryn, Czepiec kogoś wyrzwał w pysk, Panna Młoda sennie pytała biesów „a kazy ta Polska?”, w spadzistym sadzie jesiennych chochoły zseleściły i w tym nastroju strasznie wesolym, a ogromnie przez to smutnym powstał załazek dramatu. Początkowo zapewne z pokładów ciętej ironii, towarzyskiej żłośliwości — później, jak to napisał Boy, chwycił go pomysł za włosy i porwał w wielkie regiony narodowe.

Przed pół rokiem w Rydlówce zapalił się komin. Żłośliwi twierdzą, że tak urodził się pomysł nowego muzeum regionalnego pod auspicjami PTTK. Rydlówkę się remontuje. A gdy już stanie ponownie pobielona — stworzy się z niej oazę dla bronowickiego folkloru lat 1894—1914 — tego swoistego dwudziestolecia, gdy ciągnęli do Tetmajera i Rydla krakowscy malarze; upamiętni się w niej legendę literacką o „Weselu”. Bo i gdzieś pomieścić strój Jadwigi Rydlowej — ów weselny strój Panny Młodej, nie naruszony po dzień dzisiejszy? Gdzie pokazać autentyczny kombat Jaska, w którym zgubił złoty róg? Gdzie zegar empirowy, który tak spodobał się Wyspiańskiemu, że umieścił go w dramacie? Gdzie obraz Pani z ró-

## Kańczuga u progu... lat tłustych

(Ciąg dalszy ze str. 1)

stawowej i zarazem sekretarz propagandy KM PZPR.

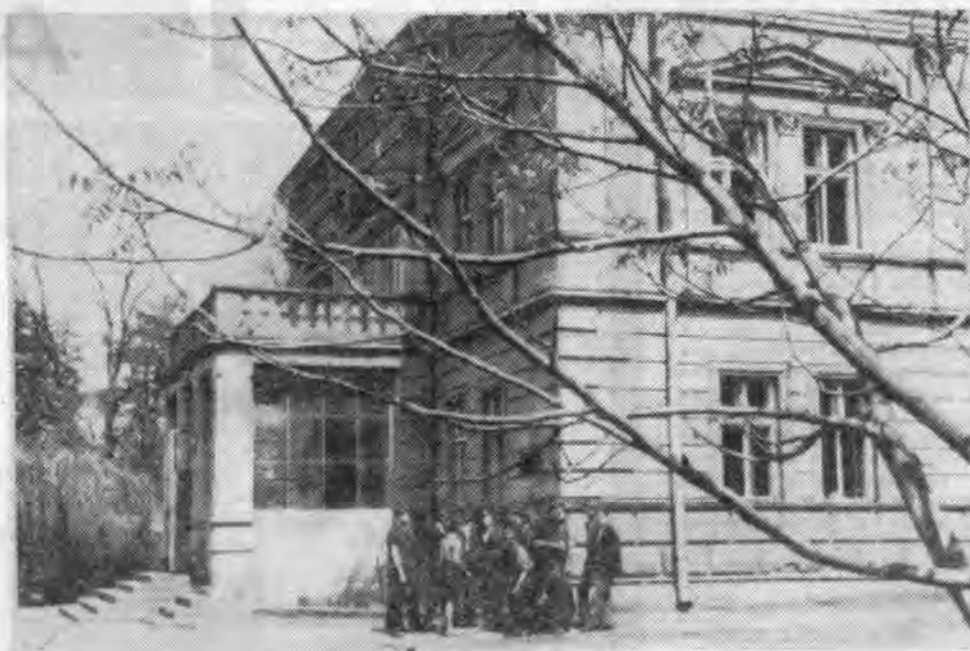
Koniec lat chudych...

Konfrontując informacje Żurawskiej, mogłem lepiej zrozumieć jej optymizm. Przez długie lata nic się nie działo w Kańczudze, nic się nie zmieniało na lepsze, dni płynęły jednostajnie i podobne do siebie. Gdy w okolicznych wsiach wznoszono nowe szkoły, domy ludowe, gdy rosnać zaczęły, jak grzyby po deszczu nowe, murowane domy — w Kańczudze było cicho i pusto. Nie bez zawiści patrzyli mieszkańcy miasteczka, uczonego prastarego szlaku handlowego, który wiódł z Krakowa przez Łańcut, Pruchnik na Przemysł, Ruś i Węgry — jak pozostają w tyle, dystansowani przez sąsiadów... I oto w ciągu ostatnich lat sytuacja zaczyna się stopniowo zmieniać. Słynęła z dawien dawna Kańczuga z metalowego rzemiosła: jak utrzymują w miasteczku, wyrabiano tu niezbędne części rycerskiego ryszunka, miecze, kołczugi... Stąd legendarna nazwa osady (kolczuga — Kańczuga) odrzucona zresztą przez naukę, stąd ironiczne powiedzenie: jadę do

Batogowa (aluzja do kańczuga!). Po wojnie, nawiązując do czynnej tu w okresie międzywojennym prywatnej wytwórni karoserii samochodowych, zorganizowano spółdzielnię „Mechanik”. W dobie rozwijającej się motoryzacji zasygnęła ona szeroko z naprawy samochodów. W ostatnich latach spółdzielnia rozrosła się i umocniła, i chociaż nadal reperuje, lakieruje, wyklepuje pogięte karoserie „Warszaw” i „Fiatów”, to przecież swoją przyszłość wiąże z innymi planami. W Kańczudze wyrabia się już elementy do produkowanych przez Hutę „Stalowa Wola” betoniariek, z których znaczna część idzie na eksport. Są to projekty, z którymi, nie musząc dodawać, mieszkańcy łączą ogromne nadzieje — przedstawienia zakładów na masową produkcję wielkoprzemysłową. Wtedy „Mechanik”, który w ubiegłym roku wybudował dużą halę i magazyny za 6 mln zł, stałby się filią wielkiej huty.

Kańczudzkie miliony...

W okresie czterech ostatnich lat wydano w miasteczku 31 milionów złotych na inwestycje. Mieszczą się w tej niewielkiej przecież sumie poczynania „Mechanika”, GS-u, który wy-



„kańczudzkie liceum w „pańskim pałacu” obchodzi w tym roku jubileusz 25-lecia. Fot. ZB. WAWSZCZAK

budował piekarnię i gospodę, spółdzielni ogrodniczej (rozbudowała baseny do kisenia ogórków i urządzenia punktu skupu), kółka rolniczego...

Sporo również osiągnięto społecznym wysiłkiem. Wzniesiono dom nauczyciela, w połowie ze środków SFBSiI, w połowie bezinteresowną pracą mieszkańców. — Mieszkańcy pracowali przy

przebudowie rynku, rekonstrukcji ulicy Polnej, budowie wodociągu — wylicza sekretarz Żurawska.

Jestem ciekaw, w jaki sposób to robiono, jakimi sposobami przekonywano ludzi? Pierwszy raz do pracy przy porządkowaniu rynku wyszli pracownicy MRN, później przysłał swych ludzi „Mechanik”, nie uchylała

się od pomocy Liga Kobiet, dołożyła swój wkład młodzież starszych klas liceum. Aha, przypominają sobie moi rozmówcy, pracowali również milicjanci... Tak, nie idzie to łatwo, ale chyba ogromnie ważny jest początek, efekty bezinteresownej roboty dla miasteczka, widoczne dla każdego z jego mieszkańców. Nie jeden raz będą się go-





Portret Lucjana Rydla — pastel Stanisława Wyspiańskiego, 1898

żami? Chodzę po przyszłym muzeum, jakieś dwie szafy z książkami mijam — może je czytał Wyspiański? — wspominam apel kustosa, którym jest już pani Anna Rydlówna-Rydłowa (tak, tak — z Rydlów i za Rydlem!), wnuczka Pana Młodego, o dary obrazów, o ich sprzedaż. I wspominam znajomy dom, gdzie dużo z tego bronowickiego dwudziestolecia leży za szafą bądź zadekowane na czarną godzinę po szafkach...

Pelna weselnych wrażeń, wędruję ścieżką nieco w górę, by wejść na chwilę do królestwa dwóch Pań z Tetmajerówki — córki i wnuczki Włodzimierza — Gospodarza. Panie niezbyt chętnie przyjmują najazdy przybyszów, bo też i nie należy do przyjemności żyć i mieszkać w muzeum. A w Tetmajerówce niemal wszystko pozostało nietknięte czasem: są zdjęcia, portrety, meble, bibeloty... To tu właśnie przechowuje się biurko Rydla, łóżko z alkierza; to tu, gdzie nie spojrzysz, uśmiechają się z wyblakłych fotografii Rydlowa z Tetmajerówką; obok portret Włodzimierza w paradyjnej gali, posługującego w wiedeńskim parlamencie w imieniu bronowickich chłopów; tu dojrzyś zupełnie dobrze zachowane zdjęcie Racheli — Pepy Singer z dużo późniejszych lat. Niestety, niewiele na nim z pięknej panny, która

przyszła na wesele „pour passer le temps” i rzuciła pomysł sproszczenia chochołów: patrz na mnie oczy przysłonięte binoklami, duży nos i wąskie, goryczą ściągnięte usta. Oto rzeźwiwista Rachel Singer, która uwierzyła Wyspiańskiemu, że ma być muzą i od prapremiery „Wesela” w 1901 r. usiłowała wcisnąć się w skrojony przez poetę portret, niewygodny zapewne, iluzoryczny. Rzeczywistość zadaje kłam poezji.

Zresztą za oknem i tak nie ma chochołów — są kwitnące drzewa i pachnie urodą majowego świata. Pusta Rydlówka spობi się do preistorczycy w muzeum; „Wesele” jednak — kiedyś tak kontrowersyjne, dziś niemal dramaturgodowy, nie chce ani rusz poddać się zabiegom brązowników. Lidia Zamkow wzburyła Kraków i chwala jej za to; nie bowiem bardziej od protestów nie odświeża. Szkoda tylko, że nie ma już wśród żywych pierwszego plotkarza młodopolskiej epoki — Boya i szkoda, że pamięć adwersarzy nie sięga po wyznanie:

*Teatr mój widzę ogromny,  
Wielkie powietrzne  
przestrzenie,  
Ludzie je pełnią...*

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

spodarze Kańczugi odwoływać do pomocy ludności, trzeba więc, aby podejmowane prace dobrze przygotowano i przemyślano. Aby na przyszłość uniknąć rozwiązań jedynie efektownych, a mniej praktycznych w codziennym życiu, jak choćby ów piękny klomb na środku rynku, wokół którego trzeba kluczyć z wiadrami pełnymi wody. W każdym razie efekty społecznej pracy mieszkańców Kańczugi w okresie minionych czterech lat zamyka niemała suma, 2 mln 300 tys. zł!

**Woda wyżej!**

Za dotkliwy paradoks należy uznać fakt, że miasteczko posiadające niezbadane bliżej, być może cenne źródła mineralne, cierpi na brak dobrej wody. Kilka razy dziennie wędrują mieszkańcy z koromysłami, wiadrami do ulokowanej na rynku studni. Ten sposób zaopatrywania się w wodę, przypominający ubiegłe stulecie, nie należy do najłatwiejszych. Stary rurociąg nie spełnia zadania. Prowadzone są prace przy budowie nowego, który doprowadzałby wodę ze źródeł w pobliskim Żuklinie. Słyszałem rozmaite, rozbieżne zresztą opinie na ten temat. Jedni utrzymywali, że zasoby żuklińskich źródeł są zbyt małe, inni, że przekrój rurociągu nieodpowiedni. Niejasności te powinny być wyjaśnione. Tym bardziej że budowa wodociągów będzie kontynuowana w bieżącym roku i potrzebna tu będzie dalsza bezinteresowna pomoc społeczeństwa...

**„Gimnazjum w pańskim pałacu!”**

Wielokrotnie w moich kańczudzkich rozmowach wracał jeden temat: liceum. Nie tylko dlatego, że jest to bądź co bądź pierwsza średnia szkoła w dziejach miasteczka, ale że stanowi ona niejako symbol nowych czasów, przejaw awansu tych stron. Liceum mieści się w dawnym, poobszarniczym pałacu, należącym do szlacheckiej rodziny Kellermanów. Dyrektor, Franciszek Koperski, opowiedział mi o początkach szkoły, która w tym roku uroczystie obchodzić będzie wraz z Polską Ludową, 25-lecie swego istnienia. W październiku 1944 roku, garstka zapaleńców z dr Romanem Masłowskim i mgr Henrykiem Lewkowiczem (reprezentującym samorząd miejski) założyła gimnazjum w Kańczudzie.

W roku 1947 wraca do rodzinnego miasteczka mgr Franciszek Koperski i od tamtego czasu kieruje placówką. Najpierw prywatnie, od 1950 roku upaństwowione, liceum odgrywa niemałą rolę w życiu Kańczugi i okolicznych wsi. Dyr. Koperski z satysfakcją mówi o 856 absolwentach, którzy ze świadectwem maturalnym wyruszyli na podbój świata... Garść pozostała na miejscu i dobrze służy społeczeństwu swą pracą. Choćby znany nam już kierownik biblioteki, Wanda Kurylo czy kierownik szkoły podstawowej, Emil Burzyński. Niemała gromadka zaszła daleko, robi kariery nau-

Sejmik aktywny kulturalnego powiatu lubaczowskiego, który odbył się w dniu 13 bm. w PDK w Lubaczowie stanowił główną imprezę tegorocznych Dni Oświaty Książki i Prasy na tym terenie. Z okazji Dnia Działacza Kultury przybyli licznie na spotkanie pracownicy i działacze k. o. Otwierając uroczystość, kier. Wydziału Kultury Prez. PRN Ryszard Moskal stwierdził, iż powiat lubaczowski i Lubaczów mogą się poszczycić dużą ilością ciekawych i wartościowych inicjatyw, aktywnym działaniem towarzystw regionalnych oraz pięknymi wynikami w zakresie budowy obiektów kulturalnych w czynie społecznym. Dużym dorobkiem może się m.in. poszczycić Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubaczowskiej, które rozpoczęło edycję seryjnego wydawnictwa „Rocznik Lubaczowski” i pracuje nad monografią ziemi lubaczowskiej oraz co roku organizuje bogaty festiwal kulturalny — „Dni Lubaczowa”. W bieżącym roku kulturalno-oświatowym oddano do użytku nowe placówki kulturalne, zbudowane dużym wysiłkiem przez lokalne środowiska w czynie społecznym — wiejskie domy kultury w Narolu i w Borowej Górze oraz świetlicę wiejską w Rudzie Różanieckiej. Na ukończeniu znajduje się adaptacja zabytkowego teatrzyku pałacowego w Horyńcu i dworu w Wielkich Oczach dla celów k. o. To wszystko świadczy o dobrej pracy działaczy kultury, o ich wysokich ambicjach i ofiarności. W dalszym ciągu spotkania red.

Jan Grygiel z „Nowin Rzeszowskich” mówił o roli kultury w procesie działalności ideowo-wychowawczej, a później wystąpił w dyskusji Marian Szabatowski, Stanisław Kosiorowski, Roman Górka i Krystyna Kuczborska, poruszając wiele istotnych problemów do rozwiązania w pra-

**LUBACZOWSKIE ŚWIĘTO KULTURY**

cy nad dalszą aktywizacją kulturalną regionu. Za osiągnięcia w pracy kulturalno-oświatowej i artystycznej wręczono działaczom nagrody i wyróżnienia. Nagrodę Wydziału Kultury Prez. WRN otrzymali — Maria Bukowa — kier. PiMBP w Lubaczowie, Michał Oleszycki — kierownik biblioteki w Łukawcu. Maria Samagalska — reżyserka zespołu amatorskiego z Oleszyc i Janina Szajowska — kierowniczka Domu Książki z Cieszanowa. Nagrodzono również nagrodami Wydziału Kultury Prez. PRN w Lubaczowie 6 zespołów artystycznych i 38 osób. „Złota

maske” dla najlepszego zespołu teatralnego, przyznawaną już w Lubaczowie tradycyjnie, otrzymał zespół z Płazowa pod kierownictwem Juliana Sidłowego. Spotkanie z okazji Dnia Działacza Kultury zamknął bogaty program artystyczny złożony z koncertów — laureatów konkursu recytatorskiego oraz laureatów konkursu piosenki radzieckiej i ze spektaklu Teatru Jednego Aktora „Siedem polskich grzechów głównych” w wykonaniu Ryszarda Gońdy z Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Wystąpiła również kapela ludowa z Dachnowa. Orzecz tej kulminacyjnej imprezy w czasie lubaczowskich Dni Oświaty Książki i Prasy odbyło się cały szereg wystaw i uroczystości. Inauguracja Dni była połączona ze spotkaniem z 11-osobową grupą studentów zagranicznych z 9 krajów (m. in. z ZSRR, NRD, Wietnamu, Gwinei, Sudanu, Wenezueli, Mongolii). Później odbywały się sejmiki czytelnicze związane z jubileuszem 20-lecia pracy kilku bibliotek gromadzkich. Brali w nich także udział pisarze — Halina Dudowa i Eugeniusz Paukszt. Zorganizowano sejmik krajoznawczy poświęcony krajoznawstwu i opiece nad zabytkami, wystawę publikacji książkowych poświęconych regionowi lubaczowskiemu oraz olimpiadę wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Ten rozmach dobrze świadczy o randze kulturalnej Lubaczowa w województwie rzeszowskim. (Ug)

**Piąty rok przemyskiego Klubu MPiK**

Pierwszy i najstarszy w województwie rzeszowskim Klub Międzynarodowej Książki i Prasy liczy sobie prawie 5 lat. Wrócił już na dobre w przemyski krajobraz. Stał się miejscem spotkań młodzieży i starszych z prasą, książką, a ostatnio także i z muzyką.

— W tym roku — mówi dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Przemyslu **Wacław Łuczak** — przystąpiliśmy do organizowania w Klubie wieczorów muzycznych. Na ich program składa się muzyka poważna w wykonaniu zespołów kameralnych i solistów.

— **Frekwencja?** — Dość duża. I co warto podkreślić wśród słuchaczy jest dużo młodzieży z długimi włosami.

— **Muzyka uszlachetnia...** — Wieczory muzyczne będziemy kontynuować, a w przyszłości przekształcimy je w cykliczne audycje — „Muzyka w przekroju epok”.

— **Nie samą muzyką...** — Dużym zainteresowaniem cieszą się przeglądy wydarzeń międzynarodowych —

mówi kierowniczka klubu — **Gracjana Łukasiewicz**. Ostatnio organizujemy także spotkania radnych z młodzieżą, która po raz pierwszy będzie głosować. Trzeba do tego dodać liczne wystawy fotograficzne, występy zespołów artystycznych, m. in. naszego przemyskiego kabaretu „Lan- cet”.

Częste są wizyty literatów. Klubowa księgarnia posiada na składzie ostatnie nowości. Dysponujemy zawsze najnowszymi nagraniami płytowymi. Stałych bywalców wyskazy sobie wieczory słuchania muzyki z płyt.

Klub nawiązał kontakt także z biblioteką powiatową, Towarzystwem Przyjaciół Nauk oraz Towarzystwem Literackim.

— **Kłopoty?** — Chcą nam zabrać pomieszczenie, w którym znajduje się tzw. cicha czytelnia. Jest bardzo potrzebna, gdyż głośne imprezy uniemożliwiają wielu osobom korzystanie z lektury. Ale sądzę, że odeprzemy te ataki, bo mamy coraz więcej sojuszników i przyjaciół.

Rozmawiał: **R. BILSKI**

kowe... Trzech absolwentów jest asystentami na politechnikach, jeden wysokim oficerem marynarki, inż. Ryszard Gorlach buduje kombinat w Indiach, archeolog, Artur Bała jeździ na badania archeologiczne do Bułgarii, Jugosławii, a Zygmunt Slipek, lekarz, pracuje przy badaniach nad produkcją polskiej insuliny. Ale nie tylko mężczyźni, Kazimiera Słaz jest geologiem, pracującym w Ameryce, Agata Baryła zdobyła wyróżnienie na studiach uniwersyteckich w Lublinie.. Lista jest długa, niepodobna przytoczyć tu nazwisk wszystkich, którzy się wyróżnili. Ale jedno trzeba powiedzieć wyraźnie: gdyby nie demokracja i upowszechnienie szkolnictwa, która jest jedyną ze zdobyczy Polski Ludowej, niewiele z tych blisko 900 maturzystów kańczudzkiego liceum mogłoby zdobyć wykształcenie! Szkoła średnia przyszła do nich, do miasteczka. Już w najbliższej przyszłości liceum otrzyma nowe pomieszczenie: w roku ubiegłym rozpoczęto budowę nowoczesnego gmachu, który będzie kosztował 7,5 mln zł.

**Zadania na dziś i jutro...**

Program wyborczy stawia przed Kańczugą konkretne zadania na najbliższe lata. Sekretarz Zurawska przedstawiła mi je w obszernym wyczerpieniu. Ma być więc budowana łaźnia, stacja CPN, pawilon handlowy Domu Książki, liceum ogólnokształcące, lecznica zwierząt, pawilon szpitala inwalidów, bu-

dynek kasy spółdzielczej, kontynuowana będzie rozbudowa spółdzielni „Mechanik”, wodociągu, oddany zostanie do użytku dom handlowy.

Program zakłada poważny udział ludności w realizacji niektórych przedsięwzięć, a przede wszystkim przy budowie wodociągu, remoncie stadionu i zagospodarowaniu osiedla. Właśnie, nie zdążyłem dotychczas powiedzieć, że miasteczko zaczyna również nabierać rozpędu budowlanego. Powstaje nowe osiedle, dotychczas wzniesiono tam 38 domków jednorodzinnych, na budowę dalszych 30 wydano pozwolenie! Elektryfikacja, ulice, chodniki i cały program urządzeń komunalnych realizowany jest wspólnym wysiłkiem mieszkańców i władz miejskich. Rośnie nowa Kańczuga — to jest chyba również symptom nowych czasów i ostatecznego przełamania bierności i застоju. Zmiany te ogromnie cieszą lokalnych patriotów, umiejących dostrzec urodę Kańczugi w pomnikach dawnej architektury, w echem historycznych zdarzeń, ale jej przyszłość widzą w dalszym rozwoju zakładów przemysłowych, w doskonaleniu gospodarki rolnej, w sprawniejszym zarządzaniu całokształtu spraw miejskich. Ludzie ci, do których grona wypada zaliczyć emerytowaną nauczycielkę Janinę Gembarzewską, Henryka Lewkowicza, Emila Burzyńskiego i wielu wielu innych, chcieliby ocalić

również cenne wartości z minionych wieków. Myślę, że poglądy ich zasługują na szacunek, a plany na poparcie!

\*

Kańczuga słynęła kiedyś szóstym, jako ośrodek druciarzy i sitarzy. Pani Gembarzewska opowiadała mi wiele ciekawych rzeczy o ludziach, uprawiających te dzisiaj zupełnie zapomniane zawody. Wędrowny to był lud, ci druciarze. Wyruszał w świat, nieraz wracał do domu dopiero po kilku latach. Ojciec Gembarzewskiej docierał w swoich wędrowkach, aż do rdzennej Rosji.

Wyrabiano w Kańczudzie śliczne koronki klocekowe. Świętą znawcą sztuki ludowej, prof. Roman Reinfuss odszukał jeszcze przed kilku laty staruszki, które trudniły się wyrobem koronek. Szkoda tylko, że lansowany przez prof. Reinfussa projekt nawiązania do starych tradycji i podjęcia produkcji koronek za pomocą „Cepelii”, nie doczekał się dotychczas realizacji. Historia miasteczka, nad którą pracuje pani Gembarzewska i która pasjonuje wielu innych, i współczesność, zapisująca nowe, piękne karty — wszystko to czyni z Kańczugi ciekawy ośrodek pracy ludzkiej. Wszystko wskazuje na to, że miasteczko rozwijać się będzie coraz lepiej. Minęły już dla tych stron lata chude...

Zbigniew Wawszczałk



## I.

Łańcut jest klejnotem, jedną z pereł pozostałych po dawnej świetności szlacheckiej Rzeczypospolitej. Takie wrażenie odnosi turysta. Samo miasto ma jednak wygląd pospolity, chociaż przyjemny, a jedynie wdzięczne, finezyjne, jednopiętrowe domki z wieżyczkami, krużganeckami i ornamentami dodają mu uroku. Nie ma już tego miasta, którym zachwycali się liczni goście Lubomirskich. Dawno już zgorzały zabytkowy kościół i ratusz. Od 1772 r., kiedy Łańcut dostał się w ręce Austrii i administrację przejęli Niemcy i ziemczeni Czesi, miasto zaczęło chylić się ku upadkowi. Całkowicie upadło rzemiosło, napływowy promienniecki element opanował handel, wskutek pożarów zmienił się wygląd sławnej ongiś siedziby „diabła” Stadnickiego. Napływała ludność: Niemcy, Czesi, Żydzi wykupywali spalone parcele i zabudowywali je byle jak, tandetnie i niedbale. Nie byli przywiązani do tego miasta, obawiali się, że los rzuci ich znowu gdzie indziej. Przecież jeszcze istniała Polska, jeszcze mogło się coś zmienić! Dopiero gdy losy Rzeczypospolitej zostały ostatecznie przesądzone, poczuli się pewniej i zaczęli panoszyć się w mieście.

Ale mieszkający Łańcuta oparli się wynarodowieniu. Miejskowa szkoła była niemiecka i nie posyłano tam polskich dzieci. Ludność polska żywo reagowała na wypadki dziejowe: powstanie listopadowe, Wiosnę Ludów, powstanie styczniowe. Każdy zryw wolnościowy zabierał nową falę młodzieży łańcutkiej, garnącej się pod sztandary powstańcze. Szczególnie dużo młodzieży poszło do powstania styczniowego. W mieście stacjonował wtedy pułk huzarów węgierskich. Dowódcą pułku tępił wszelkie próby organizowania pomocy dla powstańców zza kordonu, ale jego oficerowie nie wykonywali tych poleceń i przymykali oczy na jawne fakty ich naruszania, sympatyzując z miejscową ludnością. Pewnego dnia ufurmowała się w Łańcutie grupka młodzieży, gotowa iść w bój z carskimi żołnierzami. Dowodził nią Jan Cetnarowski, syn miejscowego kupca, obywatela zasiedziałego od niepamiętnych lat w mieście. Wyprawa zaraz za miastem natknęła się na szwadron kawalerii odbywający ćwiczenia. Oto, co znaczy pech! Ale prowadzący zajęcia rotmistrz dostrzegł wylaniających się z lasu powstańców i poznał wśród nich synów czołowych obywateli miasta. Momentalnie zorientował się w sytuacji. — „W tył zwrot!”

— zakomenderował do swoich żołnierzy i oddziałek powstańców bez przeszkód przemknął się za ich plecami.

Jan Cetnarowski wrócił z powstania i zajął się kupiectwem. Jednocześnie włączył się w szeregi działaczy społecznych. Przez kilkanaście lat był rajcą miejskim. Wreszcie w 1880 roku został wybrany burmistrzem Łańcuta. Zaczął się dla miasta pomyślny okres.

## Ryszard Dzieszyński

## Saga mieszczańskiego rodu

Co prawda, ożywienie przyszło nieco wcześniej, razem z erą federalizmu i autonomii galicyjskiej. W 1876 r. postawiono w Łańcutie budynek szkolny, w którym zaczęto uczyć po polsku. Samorząd miejski zaczął wykazywać coraz większą dojrzałość. Zakotłowało się w mieście od nowych pomysłów, idei i prądów. W ciągu 20 lat zmieniło się tutaj siedmiu burmistrzów. To młodzież, która brała udział w powstaniu, domagała się swego udziału w życiu gospodarczym, kulturalnym i społecznym miasta, powodując kolejne przesilenia na urządzie burmistrza. Starzy nie nadążali za epoką, musieli zrezygnować z władzy. Jan Cetnarowski był kandydatem młodych, a jego przeszłość powstańcza gwarantowała, że będzie reprezentował nurty, domagające się większych swobód, większej wolności.

Z chwilą objęcia przezeń urzędu życie miasta nabrało świeżości, pędu i rozmachu. Łańcut zaczął zmieniać swój wygląd. Rozwinęła się gospodarka, oświata i kultura. Założono szereg stowarzyszeń. Na polu gospodarczym działał w Łańcutie Bolesław Zardecki, którego wybrano wice marszałkiem powiatu, oraz posłem na Sejm Krajowy. Założył on Kasę Zaliczkową i Oszczędnościową, Bank Ziemski zajmujący się parcelacją majątków, Szkołę Tkacką, oraz Szkołę Sukienniczą w Rakszawie.

Ukoronowaniem wysiłków miejscowych działaczy było założenie w 1907 r. gimnazjum. Obchodziło ono w 1967 r. swój jubileusz. Należy tylko podziwiać dorobek Jana Cetnarowskiego oraz jego przyjaciół. Wyrwali oni miasto z marazmu, przywrócili

mu dawną świetność, podnieśli je gospodarczo i kulturalnie.

Ale nie wszystko szło po myśli Cetnarowskiego. Kochał swoje miasto i wiedział, że nie wystarczy dać zarobek i przyzwolone warunki egzystencji mieszkańcom, ale trzeba również dbać o przeszłość i o tradycję. Łańcut mógł się wtedy poszczycić niewieloma już zabytkami. Został stary ratusz z XVI wieku, który najwidoczniej wadził wielu rajcom przestawnej Miejskiej Rady

ski odniósł pełny sukces, zyskując medal. Natomiast kafelki jego pomysłu, nadzwyczajbarwne i trwale przyniosły mu złoty medal na wystawie w Pradze Czeskiej. Stanisław Cetnarowski był również długoletnim członkiem Rady Miejskiej. Wybór na burmistrza nie był więc przypadkowy. Zdecydowały tutaj nie tylko zasługi starszego brata, ale i osobista postawa elekta.

Cetnarowski numer dwa, objął rządy w najtrudniejszym dla

to dziś określili — rozbudzić inicjatywę społeczną.

Ustąpił z burmistrzostwa po 11 latach rządów, zaraz po przewrocie majowym. Jego urząd, który był przedtem tylko honorowy, teraz stawał się dobrze płatną synekturną. Obóz sanacyjny pragnął mieć na nim „swojego człowieka”. Stanisław Cetnarowski nigdy nie należał do żadnej partii, był jedynie członkiem Stowarzyszenia Mieszczańskiego „Gwiazda”. Spokojny, lojalny wobec rządu mieszczech. Ale było to mimo wszystko za mało i jego miejsce — miejsce ostatniego burmistrza mieszczańskiego — zajął płatny urzędnik, były dyrektor rafinerii, legionista Marian Januszewski. Kończyła się era mieszczańska, era liberalizmu, zaczynała się era etatyzmu, era biurokracji i ścisłej zależności od rządu.

Po ustąpieniu ze stanowiska Cetnarowski zajął się pracą zawodową, a później studiami nad historią miasta. W 1937 r. wydał książkę pt. „Miasto Łańcut, z dziejów i własnych wspomnień”. Zawierała ona rozdziały: „Panowie dziedziczy na Łańcutcie”, „Potoccy i dzieje Łańcuta od 1817 r. aż do Wielkiej Wojny” oraz „Wewnętrzny rozwój i życie miasta” i „Zabytki miasta”. Praca ta stanowiła rodzaj przewodnika po dziejach i zabytkach Łańcuta przeplatane osobistymi wspomnieniami autora. Cetnarowski zastrzegł na wstępie, iż jest to tylko kompilacja historyczna, poszerzona o opis wynikający z gruntownej znajomości miejscowych stosunków i zdarzeń. — „Jest ona oparta — pisał — nie tyle na rzetelnej wiedzy, ile na wysiłkach, dobrej woli i serdecznym umiłowaniu przedmiotu”.

Cetnarowski zmarł w 1947 roku, mając 87 lat.

## II.

Odwiedziłem jedną z córek Stanisława Cetnarowskiego p. Kazimierę Tumidajską, mieszkającą w Łańcutcie.

Pani Tumidajska pokazała mi dyplom obywatelstwa honorowego nadany ojcu dnia 24 lutego 1927 r., jednomyslnie powziętą uchwałą Rady Gminnej m. Łańcuta „w uznaniu jego wieloletniej gorliwej i skutecznej pracy, oraz licznych i cennych zasług położonych dla rozwoju i podniesienia miasta”. Ze ściany patrzył na nas z portretu ostatni mieszczański burmistrz Łańcuta.

Wracając przez miasto, usiłowałem liczyć domy wzniesione przez Stanisława Cetnarowskiego. Z równym powodzeniem mógłbym liczyć gwiazdy na niebie. Chyba co drugi budynek w Łańcutcie jest jego dziełem.



Fot. ADAM KUNYSZ

## Listy DO PRZYJACIELA

Obruszasz się na moją niepunktualność, przywykłeś do regularnych rozmów i posądzasz mnie, Drogi, o wiosenno-majowe rozstrzeżanie. To nie jest tak, jak myślisz, choć wyznam ci szczerze, że słysząc pęknięcie pąków na drzewach, szelest pierwszych liści, widząc łąki bajejście kolorowe, zastanawiam się z doroczną regularnością, kto i na jakie utrapienie wymyślił pracę, obowiązek, czas. Bo przyroda szalejąca prężną młodzieńczością bynajmniej nie jest odpowiednikiem naszych sił fizycznych; bo wiosna rodzi raczej psychiczne zmęczenia i wszyscy wyraźnie zaczynamy gonić resztkami ubiegłorocznego zapachu. Listy do Ciebie są przyjemnością i jako przyjemność muszą poczekać, gdy czasu nie staje — to jest dopiero prawda!

A w ogóle, czyż zastanawiał się kiedyś nad tym słowem, które tak absolutnie zniechęciło ludzi XX wieku? Nad tymi wszystkimi czasami, które są pieniądzem, lekarzem, sędzią najwyż-

szym? Nad owym „szkoda czasu i atlasu”, „komu w drogę temu czas”, „do czasu dżban wodę nasi”? Nad wielością znaczeń tego małego słowa?

Odkąd pamiętam siebie — zawsze mi brakowało czasu: w pierwszych latach życia — do zabawy wieczornej, która była najprzyjemniejsza przed snem, w pierwszych latach szkolnych do pierwszego dzwonka, w pierwszych latach gimnazjalnych do korelacji spraw sercowo-naukowych — później — co najmniej dnia całego do każdego z egzaminów; dziś te braki w zależności od ilości zaniedbanych dziedzin życia rozciągają się w miesiące, ba, lata nawet. Poszukujemy czasów straconych, czasu niezaplaczonego; żałujemy czasu źle przeżytego, zmarnowanego przez nudziarzy, poświęconego niegodnym przyjaciółom, rozmięzionego w głupich rozmowach, w czczych naradach, w marnych rozrywkach, tandetnych książkach. Czujemy, że coraz go mniej i posiadliśmy wie-



Kazimierz Oblój

# Praca nauczycieli i uczniów

(artykuł dyskusyjny)

Nauczyciel zawsze jest i będzie w centrum szczególnej uwagi społeczeństwa. Wynika to ze specyfiki jego pracy i wielkiej odpowiedzialności za jej rezultaty. Naturalnie bywa on też oceniany. Najczęściej niegruntownie i nie zawsze sprawiedliwie. Najpierw przez samych uczniów, potem przez rodziców i niekiedy przez swe władze zwierzchnie. A zatem ocenianie podług obiegowej zasady: „dziecko trafnie spostrzeże wszystkie wady i zalety uczącego”. Oczywiście, że powinno się oceniać przede wszystkim efekty pracy nauczycieli. Te zaś są uwarunkowane spłotem różnorodnych czynników i dopiero po uwzględnieniu tychże wyrokować: „dobry nauczyciel”, „zły” itp. Nie wciąż jednak o tym pamiętają wszystkie instytucje zarządzające szkołami (Wydziały Oświaty); oceniają, lecz na podstawie kryteriów infantylnych (niemal jakby donosów dzieci...) bądź w ogóle tego nie czynią. Tak stan rzeczy nie wpływa mobilizująco na szerokie rzesze pedagogów i stwarza wielką fikcję kadrową, co z kolei powoduje niejednokrotnie niewłaściwą politykę w wykorzystywaniu odpowiedzialnych ludzi na odpowiednich stanowiskach i wiele innych błędów. Ocenianie nauczycieli impulsywne „wizytacyjne”, „hospitacyjne” to zazwyczaj czcza formalność polegająca na „wyszukiwaniu dziur w całym” (kontrolujący uczącego czy szkołę dbając o należyty prestiż, często stara się pokazać, co umie (?). Ostatnio na łamach prasy pojawiło się dużo artykułów na temat nauczycieli i ich problemów.

Niektóre wypowiedzi publicystów poważnie mogły wpłynąć na podważenie autorytetu pedagogów i tak mocno już nadszarpniętego. Za przykład tego niech służy rozprawy Stanisława Bortnowskiego „Czwórka ze sprawowania” („Życie Literackie” — 1969, nr 8) i „Pierwsze progi” („Głos Nauczycielski” — 1969, nr 11, 12), gdzie autor jednostronnie, oświetlił zagadnienia pracy nauczycielskiej i doszedł do paradoksalnych i wielce radykalnych postulatów, bezpośrednio czy pośrednio godzących w dobre imię tych, od których w głównej mierze zależy cały proces dydaktyczny - wychowawczy w szkole.

Rozpatrzmy pobieżnie treść obydwu artykułów i ich tok rozumowania. W pierwszym, Bortnowski zajmuje się kryteriami oceny ucznia ze sprawowania, twierdząc na

początku, że „przypadek rządzi praktyką pedagogiczną” i stopnie z tego przedmiotu mają wartość subiektywną, nieprawdziwą — nierzeczywistą i nie spełniają roli wychowawczej ani wobec uczniów, ani w stosunku do rodziców, bo są po prostu fikcją. Ponieważ władze oświatowe chwilowo poleciły nauczycielom nie stawiać ocen z zajęć z wychowania obywatelskiego, widząc identyczne kryteria oceniania uczniów z powyższego przedmiotu, jak i ze sprawowania, domaga się raczej zniesienia stopni z tej ostatniej „nauki” nie objętej „programem”. Swe „Konkluzje na dziś” (śródytuł artykułu) kończy używając typowych dla siebie „argumentów”, odwołujących się do autorytetów. Kończy przestroga profesora Okonia: „Oto w kraju, w którym eksperyment stał się zasadą postępu i objął wszystkie dziedziny życia, szkolnictwo, mimo tęsknoty nauczycieli za eksperymentowaniem, skutecznie trzyma się starych, dawno przeżytych form, broniąc się jak gdyby przed wyzwalaniem twórczych sił w masach nauczycielskich”. W ostatnim rozdziale publikacji „Czwórka ze sprawowania” — „Perspektywy na jutro” powinniśmy znaleźć w myśl zamierzeń autora, ważkie argumenty na słusność wszystkich jego wywodów. Tymczasem przedstawiają one nikłą wartość, tak jak poprzednie, tu chociażby dlatego, że są mglistą wizją. Zresztą wystarczy jedynie przeczytać zamykające stwierdzenie — pojęcie całego artykułu, by przekonać się, że w tej rozprawie argumentacja nie jest przekonująca. Oto ono: „Bo w końcu nie nowe tysiąclatki i nie baza materialna, lecz baza moralna, program działań odważny i na miarę przyszłości krajany, zadecyduje o losie tego, co nazywamy procesem wychowawczym w szkole”.

Pora szczegółowiej rozpatrzyć tezy Bortnowskiego i podać własne dezyderaty. To fakt, że w wielu szkołach daje się zło czy dobre stopnie ze sprawowania za byle co, ale również znajdują się takie placówki szkolne, gdzie rady pedagogiczne na konferencjach klasyfikacyjnych ustalają oceny z tego przedmiotu na podstawie przestrzegania ewentualnie łamania regulaminu szkoły przez uczniów. Różne kroki podejmuje nauczyciele, by stopnie ze sprawowania były obiektywne, podobnie jak również z innych przedmiotów. Bez wątpienia jest wielu pedagogów, którzy postępują tak, jak radzi

Wincenty Okoń w swym „Zarysie dydaktyki”, organizując walkę o wyniki nauczania (i sprawowania) wśród uczniów. Np. w Mrowli, pow. Rzeszów, w tym roku szkolnym, w klasie szóstej istnieje współzawodnictwo indywidualne i grupowe w nauce i zachowaniu, co uwidacznia specjalna tablica tej rywalizacji z odpowiednimi napisami i rubrykami. Można z owej tabeli wywnioskować, że dzieci oceniane są tu według różnorodnych i stałych kryteriów — obiektywnie. Za podstawę stopni ze sprawowania bierze się „oceny z innych”: „aktywność”, „praca społeczna”, „redagowanie gazetki”, „nieobecność nieusprawiedliwiona”, „spóźnienie nieusprawiedliwione” itd. Oczywiście, że ocenia się biorąc pod uwagę określoną „punktację”. Na przykład, gdy uczeń ma same „minusy”, może mieć w zależności od ilości tychże „czwórkę” ze sprawowania (Bortnowski czyni z tego problem), a nawet „trójkę”. Nie wdając się w inne szczegóły i w inne aspekty wychowawcze płynące jedynie przeciw z tego „martwego” arkusza bristoła, trzeba jeszcze nadmienić, że może on zagrać w psychice uczniów symfonię sprawiedliwości — stanowić dodatkowy bodziec do pracy nad sobą (dzieci często mówią, że otrzymały stopnie niesprawiedliwe). Czy znieść oceny ze sprawowania w naszych szkołach? Tak, jeżeli chcemy zlikwidować ten przedmiot... Ale wtedy zbeszczeszcilibyśmy wielowiekową tradycję wychowania i zainicjowalibyśmy regres.

Jeśli pragniemy zajęciom z wychowania obywatelskiego dać odpowiednią rangę, to musimy przywrócić nauczycielom prawo stawiania uczniom z tego przedmiotu ocen, bo w przeciwnym razie mogą się stać one (zajęcia) „kółkiem zainteresowań”. Lepiej, rzecz jasna, usunąć z praktyki szkolnej oceny fikcyjne (drogą administracyjną i przez szkolenie) niż zalecać ich w ogóle nie stawiać.

Zadaniem współczesnej szkoły jest rozwijać wszechstronnie osobowość uczniów. Między innymi temu celowi służą przedmioty: wychowanie fizyczne, wychowanie techniczne, wychowanie muzyczne, wychowanie plastyczne. I nieraz jeszcze w większym stopniu oceny z nich są nieprawdziwe, subiektywne (porównaj proszę zarządzenie władz oświatowych, co do stawiania „dwój” z wymienionych przedmiotów — w niektórych

przypadkach muszą być stopnie — fikcyjne). Ale czy mamy wykreślić z „programów nauczania” owe przedmioty tak jak to pośrednio mocno sugeruje Stanisław Bortnowski? Autor wymieniony ostatnio proces wychowawczy w szkole pojmując opacznie i za wąsko, usuwając niejako w cieniu „alfę i omegę” tegoż — nauczyciela, a stawiając na pierwszym miejscu władze oświatowe i ich reformy według wskazań znanego nam dobrze publicysty. Nauczyciel bowiem wychowując, ocenia ucznia (pedagog powinien w miarę swych możliwości artystycznie wypowiedzieć tę ocenę, to znaczy niekoniecznie szablonowo „dobrze”, „nie” itp. i nie zawsze za pomocą słów np. stosować „przemilczenie”) i stwarza sytuacje wychowawcze. Takie sytuacje wychowawcze są również reżyserowane przypadkowo przez „świat” (dziecko samo się wychowuje lub deprawuje)... Mnóstwo ich można zbudować w nowych „Tysiąclatkach” — szkołach, które są wbrew

twierdzeniom Bortnowskiego „baza moralna” dla nauczycieli i dzieło ich „był kształtując świadomość” nie tylko społeczeństwa szkolnym. W następnym artykule „Pierwsze progi” który jest właściwie rozprawą w ścisłym tego słowa znaczeniu z nauczycielami podstawówki, Bortnowski rozważa o poważnej rozbieżności ocen uzyskanych przez tych samych uczniów w ostatnich klasach szkoły podstawowej i w pierwszych — szkoły średniej. Krytykuje on pedagogów pierwszego szczebla nauczania, że oceniają dzieci liberalnie i tolerancyjnie, co przy ich przejściu do początkowych klas szkół średnich, gdzie ocenia się bezwzględnie, wpływa na obniżenie stopni z poszczególnych przedmiotów. Proponuje więc takie, wśród wielu, środki zaradcze, by nauczyciele w klasach VII i VIII stosowali pewne formy szkół średnich i by wnioski z egzaminów wstęp-

(Ciąg dalszy na str. 7)



W województwie rzeszowskim od dziesiątków lat dużą dbałość wykazuje się dla tradycji folklorystycznych. Przykładem mogą być organizowane z dużym powodzeniem Dni Folkloru w Dynowie i Bieczu, Jarmark Folklorystyczny w Mielcu, Dni: Rzeszowa, Lubaczowa, Przemyśla. Osobny rozdział stanowią coroczne dożynki. Wszystkie te imprezy dają okazję twórcom ludowym, rzemiełcom, garncarzom, koszykarzom, baletnikom itp. sprezentować artystyczne wyroby oparte o stare tradycyjne wzory, przedstawiające stare obyczaje, tańce i pieśni, a tym samym wzbogacić treść naszej socjalistycznej kultury. Na zdjęciu: użytkowe wyroby garncarskie oparte na tradycyjnych wzorach zarówno, jeżeli chodzi o kształt, jak też zdobnictwo.

Fot. MICHAŁ KOPEC

dzę, że to właśnie on reguluje nasze życie. Coraz widoczniej sprawda się jego względność; coraz usilniej cenimy to jego trwanie, które dostarcza wzruszeń. Ale niewiele tylko z nas potrafi nim rzeczywiście mądrze gospodarzyć.

Powiada się, że czas stanął, a że szczęśliwi go nie liczą. Oba stwierdzenia są nieprawdą. Czas stanął tylko tym, którzy odeszli poza życie; żywym biegnie stale, niewzruszenie, niezależnie od szczęścia, klęsk, monotonii. Może się tylko wydłużyć jakaś chwila i zakarbować ponurym wspomnieniem w naszej psychice; inna skroć ponad nasze przypuszczenia. Czy w momencie wielkiej szczęśliwości nie naszło Cię przerażenie, że to już tyle cennych chwil uciekło, że to już ta godzina, że to już ten czas, w którym wracać trzeba? I choćbyś nie wiem jak bardzo pragnął gdzieś zostać, przy jakiejś rzeczy, dla jakiejś osoby — czas zabrania, czas otrzeźwia, czas reguluje...

Powiadają: miły złego początek — koniec nieradosny. Koniec — to ów czas właśnie, który jak kulebudy działa, likwiduje nadmiar wesołej przyjemności sygnałem do powrotu w codzienność. Powiadają: komu w drogę, temu czas i jest w tym powiedzeniu coś sprowadzającego z obłoków na ziemię. Często u miłych przyjaciół, gdzieśmy pojedli, popili i pogwarzyli mówią-

my to z nadzieją, że zaprotestują; często przed niewygodną podróżą — z rozpaczą, że już czas na nią nieubłagany; często łzawo mamrocemy przy rozstaniach i często bez nadziei na jakikolwiek powrót. Powiadają: czas go zrehabilitował i znaczy to mniej więcej tyle samo, co przyszłowie o sprawiedliwej acz nierychliwej oliwie, która zawsze wypłytnie na wierzch. Czas byłby więc stronnikiem prawdy; ale i to jest względne, bo sama znam pomyłki, w których nawet czas bywa bezsilny...

Powiadają: czas go zdemaskował, ale i to jest równie względne, bo czas biegnie, a paru, których trzeba, jakoś nierychliwie demaskuje. Powiadają: czas go utemperował i to jest powiedzenie raczej okrutne, bo czas zwykły temperować dolegliwością fizyczną, psychicznym zalaniem, złymi doświadczeniami, rezygnacją, rzadko nadmiarem szczęśliwych zbiegów okoliczności. Powiadają: uciekł niszczycielskiej działalności czasu i to jest komplement. Ale w końcowym efekcie i ten komplement zamieni się w jednakową dla wszystkich starość i bynajmniej lat — czyli czasu dodatkowego nie przyrzuci.

I wreszcie powiadają: czas to pieniądź, a powiedzenie to równa się umiejętności życia w ogóle. Wszak sprzedajemy wszystko, kupując wszystko. Sprzedajemy umiejętności — kupując chleb, sprzedajemy uczucia — kupując wzajemność, sprzedajemy lata — zarabiając na starość. W tej wielkiej wymianie, zwanej życiem, wszystko dzieje się pod patronatem czasu. Ież to lat potrzeba, żeby osiągnąć cel — zawód? I znowu działanie względności daje znać o sobie choćby poprzez wzięte pytanie, które przynajmniej raz nachodzi każdego myślącego człowieka — czy to już wszystko? Naturalnie także każdemu myślicielowi człowiekowi mimo chodem rodzi odpowiedź negatywną, bo każdy myślący wie, że praktyczna nauka doskonałości siebie samego, swego zawodu, swoich umiejętności rozciąga się w czasie przynajmniej na skończoność naszego życia... A kiedy już padnie to przeczenie — dwa stany dominować zaczynają w naszej psychice: zwątpienie, że czas przeżyty dał tak mało w gruncie rzeczy i ufność, że ten czas, co przed nami pozwole na dokonanie cudów. I w ten sposób czas rodzi także skrajności. Bo ani nam trzeba tak bardzo wątpić w to, cośmy dotychczas osiągnęli — ani tak balwochwalczo wierzyć temu, czego dokonać możemy. Zbyt ufnych życie utemperuje, a w jaki sposób, tom wcześniej Ci już napisała, zbyt sobie nie wierzących metodą powolnej eliminacji wyrzuci na margines, bardziej

czuwającym i bardziej bezczelnym robiąc wolne miejsce. Pisałam Ci kiedyś o zgorzkniałej przyjaciółce z lat młodości, która się czuje pokrzywdzona matkowaniem, parami — a więc brakiem konkretnego zawodu. Ale pomyśl, że są ludzie zgorzkniali właśnie w zawodzie, którzy dreptają wokół jednego biurka, wokół których wszystko się zmienia, tylko oni sami żadnym zmianom nie podlegają. Powiadają wtedy, że nie ich nie czeka, żadne zaszczyty, żadne awanse, ale oboje wiemy dobrze, że to znowu jest wielka nieprawda, bo właśnie tych ludzi czeka jeszcze przerażający bilans, czyniony zawsze u schyłku dni własnych, w którym na koncie przychodów zaznaczają sami sobie pustkę. Myślę i zapewniam się ze mną zgodzisz, że to właśnie zbyt wielka niewiara w siebie tak zepchnęła ich z normalnej drogi. I myślę, że zbyt często mówili sobie złowrogie: mam jeszcze czas, co dla mnie przeważnie oznacza wygodniczo z pozoru — jakoś to będzie. Naturalnie, że zawsze jakoś to bywa, ale najczęściej właśnie nie tak, jakieśmy to w snach młodzieńczych projektowali. Czy nie jest to jeszcze jeden dowód na okrucieństwo czasu, na nieumiejętność zostawiania czegośkolwiek jego biegowi? Zapytasz pewnie — cóż jest wolne od okrucieństwa czasu,

jak utemperować czas i czy w ogóle zabieg taki jest możliwy? Widzę tylko jedną możliwość pozytywną odpowiedzi: wyrzucić ze słownika naszego powszedniego wszystkie „jakoś to będzie” i złudzenie, wielkie ludzkie złudzenie, że nie mając czasu na co dzień — w rzeczywistości jeszcze wiele go przed nami. Według mnie ten porządek trzeba odwrócić: mieć więcej czasu na dobę, co znaczy ni mniej ni bardziej tylko dobre, planowe nim gospodarzenie i skromnie go widzieć przed sobą — co raz na zawsze odczytasz nas zadufkostwa, że jeszcze mogą z nas być Einsteiny. Uświadomić sobie za to i nie podlegać panice, żeśmy żywym dowodem na teorię względności i w gruncie rzeczy od ustawienia naszej psychiki zależy, czy czas nam, czy my czasowi od... czasu do czasu panować będziemy.

Jasno ci to wyłuszczywszy, kończyć muszą. Bynajmniej nie dlatego, że czas pogania, ile dla rozsądnej miary rzeczy: żeby Cię nie znudzić, żeby Ci resztę o czasie pozostawić na późniejszy własny użytek. A jeśliśbyś przypadkiem znowu był kiedyś narazony na moją niepunktualność — wtedy uśmiechnij się wyrozumiale i zrozum, że mimo okrucieństwa czasu potrafi bywać w pewnych sytuacjach pomocnym sprzymierzeńcem człowieka...

KRYSTYNA



# Z akordeonem do Klingenthal



KLINGENTHAL — miasto w Saksonii w Niemieckiej Republice Demokratycznej, znane jest dobrze miłośnikom sportów zimowych i... muzyki. Tu znajduje się piękna skocznia narciarska, na któ-

rej rokrocznie rozgrywane są międzynarodowe konkursy skoków, w Klingenthal — miasteczku słynącym także z produkcji wysokiej klasy akordeonów (m. in. „Weltmeister-Supita B”) — odbywają

się już od 18 lat międzynarodowe konkursy najlepszych akordeonistów państw demokracji ludowej. Popisy wirtuozów akordeonu cieszą się ogromnym powodzeniem, a koncert laureatów transmituje radio i telewizja NRD.

W tym roku ze szczególną niecierpliwością oczekiwać będziemy wieści z Klingenthal. W rozpoczętym tam 12 bm. międzynarodowym konkursie akordeonistów, który trwać będzie do 22 bm., bierze udział reprezentant Rzeszowszczyzny — Czesław Kotowski — uczeń V klasy Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Przemyślu, wychowanek Krzysztofa Milezanowskiego. Ten utalentowany, a przy tym niezwykle pracowity i skromny muzyk gra na akordeonie od 9 lat; w przyszłym roku zamierza on podjąć studia na Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie, w sekcji akordeonu prof. Lecha Puchnowskiego. O wysokiej klasie gry Czesława Kotowskiego świadczy fakt, że od 2 lat znajduje się on wśród najlepszych w kraju akordeonistów młodego pokolenia. W

br. szczęśliwie przeszedł przez gestę „sito” eliminacji, zdobywając jedną z trzech „przepustek” na konkurs do Klingenthal obok Mieczysława Skrockiego i Stanisława Faliszewskiego — uczniów prof. L. Puchnowskiego.

Konkursowy repertuar Czesława Kotowskiego to — „Sonata Arabiata” Kurta Schwanna i finał Sonaty h-moll — P. Czajkina (pierwszy — to utwór obowiązkowy, drugi — dowolny). Z myślą o występach w Klingenthal uczeń przemyskiej szkoły przygotował także Fugę e-moll J. S. Bacha i wariacje z Sonaty h-moll Czajkina.

Wielbiciele talentu Cz. Kotowskiego wierzą, że jego zagraniczny debiut zakończy się sukcesem. (mn)

Czesław Kotowski — uczeń Krzysztofa Milezanowskiego z PSM II st. w Przemyślu — reprezentuje obecnie Polskę na międzynarodowym konkursie najlepszych akordeonistów państw demokracji ludowej w Klingenthal, w NRD.

Fot. J. MENDYCHOWSKI



Spotkałem dziwnego człowieka — był to staruszek o plecach zgarbionych, wzrok miał utkwiony w ziemię, szukał czegoś, rozglądał się niespokojnie i wyczekująco, nastuchiwał.

— Przepraszam — zagadnąłem go. — Zdaje się, że pan coś zgubił, pan czegoś szuka.

— A tak... — powiedział smutno. — W istocie. Szukam. Ale nie wiem, czy pan to rozumie. Ja szukam pewnej melodii — to była piękna stara melodia, bardzo byłem do niej przywiązany, śpiewałem ją zawsze, kiedy było mi smutno. Potem postarzałem się, przestałem śpiewać, straciłem pamięć, zapomniałem. Ile razy jest mi smutno, wychodzę do parku, do lasu albo błąkam się po ulicach. Szukam mojej starej melodii.

Stary człowiek umilkł, a ja przypomniałem sobie, że na strychu naszej kamienicy leży wśród zakurzonych rupieci stary gramofon z tubą i kilka pięknych płyt.

— Niech pan idzie ze mną — zaproponowałem. — Znam takie jedno miejsce, gdzie mógłby pan znaleźć to czego pan szuka.

Podreptaliśmy stromymi schodami na strych, gdzie w sercu starożyteckiego gramofonu żyją jeszcze zapomniane, ochryple i ledwo słyszalne melodie starszych sentymentalnych panów.

## Kultura polska na świecie

### FESTIWAL POLONIJNYCH ZESPOŁÓW ARTYSTYCZNYCH W BELGII

Tradycyjny już w Belgii festiwal polonijnych zespołów artystycznych, organizowany dotychczas w różnych miejscowościach tego kraju, w roku 25-lecia PRL odbędzie się w Brukseli. Organizacji festiwalu podjęło się belgijskie stowarzyszenie kulturalne „L'Essor Intellectuel”. Patronat nad imprezą objął ambasador PRL w Belgii Franciszek Modrzewski.

W rozpoczynającej się 18 bm. walce o pierwszeństwo reprezentowania Polonii belgijskiej w Polsce współzawodniczyć będą zespoły: „Karolinki” z Liege, „Mazurki” z Zwartbergu, „Orzeł” z Gandawy, „Polonez” z Charleroi i „Szarotki” z Koersel-Stal.

### TEATR PANTOMIMY WYSTĄPI W RUMUNII

Teatr Pantomimy z Wrocławia wystąpi w bm. w Rumunii. W Bukareszcie, Jassach i innych miastach polscy artyści zaprezentują w dniach 10-25 bm., spektakl, na który złożą się: „Labyrinth”, „Kobieta”, „Suknia”, „Maraton” i „Ogród miłości”.

### „MATKA KRÓLÓW” W MEKSYKU

W przekładzie znanego pisarza meksykańskiego i tłumacza literatury polskiej na język hiszpański Sergio Pitola ukazała się w

Meksyku powieść Kazimierza Brandysa „Matka Królów”. Powieść opublikowało wydawnictwo ERA SA.

### PIOSENKI „NO TO CO” POPULARNE W ANGLII I KANADZIE

Udział w „MIDEM 69” w Cannes zapewnił zespołowi „No to co” i wykonywanym przez niego piosenką międzynarodową popularność. Większość utworów nagranych na long-playa przez ten zespół została zakupiona przez wydawnictwa angielskie i kanadyjskie.

### POWODZENIE WYSTAWY POLSKIEJ SZTUKI NAIWNEJ

Wystawa polskiej sztuki naiwnej przewieziona została z Londynu do Szkocji. W lutym i marcu prezentowana była w Aberdeen, Dundee i Durham; obecnie eksponowana jest w Southampton. We wszystkich miastach wystawa cieszy się ogromnym powodzeniem.

### DRAMATY WITKACEGO WE FRANCJI

Paryskie wydawnictwo „Gallimard” publikuje serię dramatów Witkacego. Ukazała się m. in.: „Matka”, „Metafizyka dwugłowego cielecia”, „Kurka wodna”, „Wariat i zakonnicca”, „Szewcy”, „Oni” i „Gybal Wahazar”. Autorami przekładów są: Jadwiga Kukulczanka, Jacques Char-

riere, Francois Marie i Claude Roy.

### DRUGIE SZWAJCARSKIE WYDANIE POWIEŚCI „TEN OBCY” JURGIELEWICZOWEJ

W Szwajcarii ukazało się drugie wydanie powieści Ireny Jurgielewiczowej „Ten obcy”. Tłumaczem książki na język niemiecki jest Eustachy Świeżawski.

### SPOTKANIE LONDYŃSKIEJ POLONII Z POLSKIMI KRYTYKAMI TEATRALNYMI

Stowarzyszenie Odra-Nysa w Wielkiej Brytanii zorganizowało spotkanie londyńskiej Polonii z polskimi krytykami teatralnymi przebywającymi w wizycie na zaproszenie British Council. Tematem spotkania była dyskusja nt. polskiego życia teatralnego w minionym 25-leciu.

Spotkanie zainaugurowało cykl obchodów zorganizowanych przez tamtejszą Polonię dla uczczenia 25-lecia PRL.

## Pan wachmistrz

Pozostało tylko wspomnienie po szabl. W 1939 roku nie było czasu, aby cieszyć się licznymi sukcesami i tytułem wicemistrza Polski w szermierce. Wrzesień zastał go w rodzinnym Mirocinie. Potem odbył się długi szlak bojowej wędrówki — wachmistrza, który szablę na kilka lat musiał zamienić na karabin. Ale i tam między ćwiczeniami a walką, między słuchaniem radia o tym co dzieje się na radzieckim froncie a dreczącą nostalgią za ojczyzną — stawał w szermiercze szranki.

Pożółty dyplom uczestnictwa w zawodach sportowych — to też jedno ze świadectw wojennych, obok „Krzyża Walecznych”, Walore Dimilitare włoski, Krzyż Zasługi, Medal Wojska Polskiego, Krzyż Monte Cassino, Gwiazda Afryki, Gwiazda Italii, Gwiazda Iraku, Medal za wojnę... Suche wylizanie orderów — oddaje już prawdę o przeszłości, ale nie obrazuje dni, jakie kolejno przeżywał polski tułacz szukający drogi do kraju. Te niesamowicie długie dni — pochłonięły setki stron, składających się z dwudziestu trzech zeszytów — pamiętnika. Nerwowe szukanie. Jest.

To było na Bliskim Wschodzie. Podczas jednej z przepraw utopił się serdeczny przyjaciel wachmistrza. W bezsilnej rozpacz zrodziło się postanowienie: „wszystkie dzieci z mojej rodzinnej wsi muszą umieć pływać, aby nie było więcej takich tragedii”...

Z tym postanowieniem wraca w 1946 roku do Mirocina. Wszystko, co miał oddał na budowę basenu — zapalając wieś do społecznego czynu. W czterdziestym ósmym nastąpiło uroczyste „oddanie do użytku”. Rzecz jedyna, niepowtarzalna w tych pierwszych powojennych latach.

Wkrótce w Przemyślu założył sekcję szermierczą, społecznie angażował się do organizowania podobnych w Lubaczowie i Dynowie, stał się szefem rodzacych się LZS-ów, brał udział w tworzeniu pod-

walin sportu i kultury fizycznej na wsi — był jednym z pierwszych instruktorów i trenerów wielu dyscyplin sportu na Rzeszowszczyźnie.

— Były to czasy, kiedy gaszenie światła elektrycznego dla niektórych znaczyło „dmuchać w żarówkę” — wspomina.

Ta zakrawająca na żartobliwą anegdotę — wiadomość, była przecież jeszcze nie tak dawno autentyczną prawdą. Dlatego też Franciszek Saban przez swoją działalność sportową zmierzał dalej, dążył do nadrobienia zaległości z wiedzy o współczesnej cywilizacji, do wyrugowania zacofania z „zabitej deski” wsi.

Dzisiaj, wielu z tych „sabanowych dzieci” przypomina sobie zapewne chwile, kiedy z mrowczym uporem gromadziło się gromie w Klubie LZS-u po to, aby opłacić wycieczki do Warszawy, Gdańska, Zakopanego. A i Mirocin stał się miejscem dla wielu zjazdów, spotkań, zawodów. Tu na pokazowe imprezy pływackie, ratownicze przyjeżdżał także przewodniczący GKKF — Lucjan Motyka, kręcono film o tym wzorowym ośrodku sportowym na wsi, tu zawiąta też Polska Kronika Filmowa.

Mieszkańcy? Zapomnieli już o wydarzeniu z żarówką. Mirocin był wioską w powiecie, gdzie zainstalowano pierwszy telewizor. Basen stał się miejscem nie tylko dla sportu. Jego urzędzenia, gorące prysznice — zaczęły spełniać użyteczną rolę — łaźni, z której korzystał każdy, kto żył w Mirocinie. Zawody pływackie były nawet tematem sporów i zakładów między ojcami — o zwycięstwo swoich dzieci. Życie pulsowało entuzjazmem.

— Przykro mi nawet mówić, że teraz wszystko tam niszczeje, że zaniedbano to, co było taką dla nas wielką chlubą — mówi człowiek, który w budowę basenu włożył nie tylko własny fundusz, ale i część serca. Kilka lat temu opuścił Mirocin. Rozpoczął pracę w Dubiecku już chyba wtedy z cichym za-

miarem powolnego wycofania się z pracy społecznej.

Zaledwie pół roku pełni Franciszek Saban funkcję zastępcy kierownika w Ośrodku Wypoczynkowym WOSTiW-u „Bieszczady” w Solinie. Popularny. Reklamą jest jego praca, uśmiech, uprzejmość. Z każdym zagada słówko, dwa — zawsze w ruchu. Nie ma czasu na pogawędki siedząc. Okolicy Soliny w małych bieszczadzkich wioskach już rodzą się LZS-y, znowu „sabanowe dzieci”, jak to przed laty było w Mirocinie poznawcą będą tajemnicy sportu. Sześćdziesięciokilkuletni p. Saban — ma jeszcze dużo do powiedzenia jako trener — w swojej ulubionej szermierce; z powodzeniem może wychowywać spadkobierców do „szabli Pana Włodzysława”.

W małym pokoiku w Ośrodku w Solinie raz po raz mojego rozmówcę wyrwa telefon, kilkakrotnie gawędy przerywali interesanci i personel „ze sprawami do załatwienia”. W tych przerwach wertują „księgę pamiątkową” z Dubiecka. Między stronicami:

„dobrze byłoby, aby wszystkie ośrodki wypoczynku miały takich ludzi jak ten w Dubiecku”... „jeżeli straci się wiarę w człowieka — trzeba wybrać się do Dubiecka”... „ubogo tu i chędogo, ale rodzinie”...

Setki podpisów; młodzieży, sportowców, przygodnych turystów i znanych osobistości. Tak. Można by pomyśleć, że to zdania czczej kurtuzji, słowa, jakie wpisuje się przy tego typu okazjach „ku pamięci”. Ale są jeszcze sterty kartek, pocztówek, które codziennie poczta zwozi od kilku miesięcy już do Soliny panu Sabanowi.

Taki jest Franciszek Saban, „Zastużony działacz kultury fizycznej” i „Zastużony dla Rzeszowszczyzny”.

JUSTYNA WOS



W festiwalu nowoczesnej magii w Karlowych Warach, jak już informowaliśmy, brali udział rzeszowiaczy: JERZY BERDOWSKI i TADEUSZ CHWAŁKA.

Na zdjęciu: Tadeusz Chwałka w czasie występów.



## Praca nauczycieli i uczniów

(Ciąg dalszy ze str. 5)

nych administracja szkolna analizowała na bieżąco, a w przypadkach drastycznych (nie wahała się) „wyciągnąć pewne sankcje wobec szkół czy nauczycieli, w których pracy stwierdzono rażące anomalie”. Nietrudno zauważyć, że Bortnowski przeciwstawia nauczycieli podstawówki nauczycielom szkół średnich. Ci ostatni to „profesorowie” — „bierzcie z nich przykład”. Ale czy oni właściwie oceniają? Czy można zaaprobować stawianie stopni według kryterium: „nie umiesz, dwójka”. Nigdy, gdyż nie bierze się pod uwagę np. dyspozycji psycho-fizycznych ucznia i jego warunków domowych. Konieczne trzeba oceniać, ale humanitarnie, tak dzieci i młodzież w szkołach, jak również nauczycieli.

W naszej rzeczywistości szkolnej nie powinno być elitaryzmu. Znosi się na to, że w tym roku szkolnym bardzo trudno będzie dostać się absolwentom podstawówek do liceów ogólnokształcących i techników. Można tak twierdzić na podstawie „sprawdzianu wiadomości z języka polskiego dla kl. VIII”, jaki został rozesłany przez Ośrodek Metodyczny w Rzeszowie do licznych szkół powiatu, by pomóc ich kierownikom w należytych typowaniu dzieci do odpowiednich placówek szkolnych. Myślę, iż „sprawdzian” ów spowodował w niejednej szkole dezorientację wśród młodzieży i uczących w sprawie stopnia opanowania języka czystego, gdyż wymagania stawiane przez tę instytucję dzieciom są stanowczo za wysokie i kryteria ocen („punktacja”) nadaje się raczej dla abiturientów liceów. Ocenianie uczniów to problem niezmiernie złożony i istnieje również na wyższych uczelniach, tak samo jak i „różnice poziomu” w trakcie przechodzenia absolwentów szkół średnich w progi uniwersytetów. Niektóre szkoły średnie też wypuszczają w świat nieuków, nie tylko podstawówki. Wyciągać konsekwencje służbowe? — stopnie z poszczególnych przedmiotów muszą być sprawiedliwe, winny stanowić też rezultat rzetelnej wiedzy o uczniu, jak i o nauczycielu. Każdy uczący zobowiązany jest do stworzenia jednolitego harmonijnego systemu oceniania podopiecznych „już na początku roku szkolnego”. Aktywność uczniów w klasie stwarza warunki dla wyników nauczania i zachowania, wtedy dopiero, oceny mogą stać się realne, obiektywne, sprawiedliwe. Czy można oceniać nauczycieli według stopni, jakie on stawia uczniom? Można, lecz tylko wówczas, kiedy usunie się wszystkie przeszkody obiektywne, które nie pozwalają pedagogom w pełni rozwinąć skrzydeł. Należy jak najszybciej wykorzystać ze świadomości wielu nauczycieli, że ich praca jest „niewymierna” (nie daje się zmierzyć, nie sposób jej ocenić po szkolnemu). Piękną rzeczą i wskazaną byłoby zainicjować ruch szlachetnego współzawodnictwa wśród rzesz nauczycielskich. Dlatego ośmielam się wezwać wszystkich uczących do rywalizacji pod hasłem: „moja klasa na lekcjach w mej specjalności — aktywna”. Będzie to taki „auto-sprawdzian” (koniec roku szkolnego bliski). Zapraszam do szczerzej, owocnej dyskusji.

KAZIMIERZ OBLÓJ



## „Czerwone Gitary” nadal najpopularniejsze

„Czerwone Gitary” to trzeci laureat „Złotej Płyty” przyznawanej przez Polskie Nagrania dla solistów i zespołów za przekroczenie 125 tysięcy nakładu jednej płyty. „Czerwone Gitary” mają również na swym koncie sześć „czwórek” i cztery „single”. W końcu bieżącego roku powinna ukazać się w sprzedaży czwarta ich płyta długogrająca.

Przy okazji warto wspomnieć, że zespół ten jest laureatem różnych nagród, jak „Złota Kotwica” Sopotkiego Lata 1968 oraz Międzynarodowa Nagroda TROFEUM zdobyta w czasie III Targów MIDEI w Francji.

Trzej pełni werwy chłopcy: Krzysztof Klenczon, Jerzy Skrzypczyk i Bernard Dornowski oraz zawsze smutny ku żalowi licznych wielbicieli, Seweryn Krajewski — występowali już w Czechosłowacji, Związku Radzieckim i Jugosławii. W perspektywie mają koncerty we Włoszech, Kanadzie i USA. Niedawno pobyt w Związku Radzieckim przysporzył im tylu zwolenników, że zaproszono ich na powtórne tournée.

Większość piosenek z repertuaru, który podbił naszych „nastolatków” to ich własne kompozycje.

— Która z piosenek była pierwszym waszym przebojem? — pytamy Seweryna Krajewskiego.

— „Boisz się myszy”. Nagraliśmy ją dla Radia razem z pięcioma innymi utworami. Były wśród nich też „Niedźwiadki”, „Licz do stu”. „Taka jak ty”.

— W czym należy doszukiwać się źródeł sukcesu, jaki odniósł zespół, zwłaszcza jeśli idzie o początki jego kariery?

— Zaczęło się wszystko w sopoekim Non-Stopie przed czterema laty. Nie było wówczas u nas podobnych zespołów instrumentalno-wokalnych. Pokazaliśmy więc coś odmiennego, nowego. Nasze propozycje były nietypowe dla popularizowanych wówczas gatunków muzyki. Młodzież była zaskoczona, ale przyjęła nasz nowy styl w piosence. Styl kontynuujemy, ale program stale uzupełniamy o nowe utwory. Chcemy przecież nadal być „najpopularniejszym” zespołem młodzieżowym w Polsce.

— Czy macie zamiar pozostać przy trzech gitarach i perkusji?

— Tak. W gitarach tkwią nieograniczone możliwości muzyczne. Chcemy je wykorzystać w pełni, a do tego jeszcze daleko.

— Jak odbiera waszą muzykę publiczność zagraniczna?

— W naszych dotychczasowych kontaktach z publicznością zagraniczną spotykaliśmy się jak dotąd z bardzo dobrym przyjęciem. Choć np. przed tournée po ZSRR uprzedzono nas, że publiczność radziecka jest trudna, przekonał się, że wszystko zależy od tego, jak się swój repertuar poda. Nie trzeba znać się na beacie, by odróżnić złą muzykę od dobrej.

Do pozytywów naszych kontaktów z zagraniczną publicznością należy także zakupienie przez jedną z angielskich firm płytowych kilku naszych piosenek. Wypuściła ona reklamówkę. Ukazała się w czasie naszego pobytu w Cannes. Angliki mają również zamiar nagrać longplay z naszymi piosenkami. Podobne plany mają również wytwórcy płyt w Związku Radzieckim.

Opracowanie CAF  
Zdjęcia: H. ROSIAK

## FILM FILM FILM

INGRID BERGMAN  
ZNOW w HOLLYWOOD

agenta — oddaje cenne usługi  
wywiadowi radzieckiemu.

Po 20-letniej przerwie Ingrid Bergman wystąpi w filmie amerykańskim. Aktorka objęła główną rolę w przeróbce francuskiej komedii „Kaktus”, wystawianej m. in. na Broadwayu. Na pytanie dziennikarza, co się zmieniło w ciągu 20 lat w hollywoodzkich studiach, odpowiedziała: — „Niewiele, zaskoczyły mnie tylko próby aktorskie, na które przeznaczono aż 3 tygodnie. Pamiętam, jak podczas realizacji „Gazowego światła” w tym samym dniu, w którym poznałam Charlesa Boyera, nakręcałam z nim scenę z pocałunkiem...”.

CHIARINI PISZE

Prof. Luigi Chiarini, który w tym roku nie będzie już pełnił funkcji dyrektora weneckiego festiwalu, zapowiedział wydanie książki, zatytułowanej „Lew i inne zwierzęta” i opatrzonej podtytułem „Film i protesty”. W książce tej przedstawi doświadczenia z okresu swych rządów na weneckim festiwalu.

FILM O VITUSIE BERINGU

Na Wyspach Komandorskich, Kamczatce i Półwyspie Kolskim reż. Jurij Szwyriew nakręcać będzie zdjęcia do filmu fabularnego o ekspedycji Vitusa Beringa. Scenariusz, oparty na źródłach historycznych i pamiętnikach świadków wydarzeń, opracowali znany pisarz Wiktor Szklowski oraz scenarzysta Josif Osipow, który odwiedził liczne miejsca, związane z ekspedycją Beringa.

„ZŁOTO” POLEWOJA  
NA EKRAPIE

Reż. Damir Wiaticz-Bierieżnych pracuje nad ekranizacją powieści Borysa Polewoja „Złoto”. Akcja utworu toczy się w latach ostatniej wojny i przedstawia dzieje uratowania przez pracowników banku, z zajętego przez wojska hitlerowskie miasta, 17 kg złota. Po długim i niebezpiecznym transporcie bohaterowie doręczają cenny ładunek radzieckiemu dowódcy. „Złoto” jest już drugim utworem Polewoja przeniesionym na ekran przez reż. Wiaticz-Bierieżnych (pierwszym była powieść „Doktor Wiera”).

ANTONIONI  
ZNOW WE WŁOSZECH

Michelangelo Antonioni pracuje w USA nad filmem „Zabriskie point” ale — jak oznajmił — wkrótce wraca do Włoch, gdzie nakręci swój kolejny utwór. Będzie to przeróbka „Niewolnicy” Renata Ghiotta. Monica Vitti odtworzy w „Niewolnicy” rolę Margarety, słynnej aktorki, pięknej, zmysłowej kobiety, kochającej przepych i sławę. Kto obejmie rolę Sylwii, kobiety inteligentnej, skromnej lecz o skłonnościach masochistycznych — jeszcze Antonioni nie zdecydował.

LOUIS MALLE O INDIACH

Francuski reżyser Louis Malle przebywał od stycznia do kwietnia w Indiach, gdzie utrwalił na taśmie materiały, których łączna projekcja trwa 40 godzin. Z materiałów tych zmontował długometrażowy kolorowy film — jak twierdzi krytycy — znakomity. Niestety, widzowie tego filmu nie oglądali, ponieważ dotychczas nie znalazł się dystrybutor, który by film wprowadził do rozpowszechniania.

YES, MR. HULOT

Jacques Tati przystępuje do nakręcania filmu, który nosić będzie tytuł „Yes, Mr. Hulot”. Jest to historia wprowadzenia na rynek przez małe zakłady nowego modelu samochodu. Zakłady walczą z konkurencją wielkich firm i z czasem, chodzi bowiem o wykonanie modelu na międzynarodowy salon, w Amsterdamie. Jak zwykle u Tati’ego film obfitować będzie w liczne gagi.

MARCEL PAGNOL  
ZNOW ZA KAMERA

74-letni członek Akademii Francuskiej Marcel Pagnol zapowiedział realizację filmu. Utwór nosić będzie tytuł „Zamek mojej matki” i oparty zostanie na wspomnieniach z dzieciństwa.

FILM

O ARKADIUSZU GAJDARZE

Arkadiuszowi Gajdarowi poświęcony jest nowy film reż. Edwarda Boczarowa. Gajdar należy do najpopularniejszych radzieckich pisarzy dla dzieci i młodzieży, a jego utwory wielokrotnie przenoszone na ekran. W filmie przedstawione zostanie życie i działalność rewolucyjna Gajdara, który już jako 16-letni chłopiec dowodził oddziałem Armii Czerwonej, a zginął w 1941 r., walcząc w partyzantce przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcom.

FILM O CROMWELLU

Nakręcony zostanie film o Oliverze Cromwelle, jednej z największych postaci w historii Anglii. Reżyserować będzie Ken Hughes, który także opracowuje scenariusz. Tę angielską epopeję finansować ma amerykańskie towarzystwo „Columbia Pictures”.

„TRZYKROTNA PRÓBA”

„Trzykrotna próba” — taki tytuł nosić będzie sensacyjny dramat wojenny, który reżyseruje A. Brenz. Bohaterem jest radziecki oficer, który znalazłszy się w niewoli hitlerowskiej zdobywa zaufanie wroga i — pełniąc formalnie funkcję niemieckiego

dają jej okazję do mistrzowskiej obserwacji psychologicznej, do spojrzenia na trudne, konfliktowe sytuacje.

Maksym Gorki: MATKA. PIW, s. 283, cena zł 15.

Ponowne wydanie powieści, która zdobyła wielonakładowe edycje i światową sławę. Napisana w roku 1906 po raz pierwszy w literaturze rosyjskiej pokazała walkę proletariatu.

Olgierd Terlecki: TROJE NIEPRAWDIWYCH. Wyd. Literackie, s. 176, cena zł 10.

Pierwsza powieść z „Tryptyku włoskiego” (pozostałe tytuły: „Opowieść Włoszki” i „Siedem dni Isabelli”). Reminiscencje z lat wojny, wspólczesne Włochy i miłość.

Borys Biedny: DZIEWCZĘTA. Przeł. A. Drawicz. „Iskry”, s. 220, cena zł 9.

Trzecie wydanie znanej powieści radzieckiego autora, przeznaczonej dla dorastającej młodzieży. O przyjaźni i miłości.

Aleksander Bielajew: WYSPA ZAGINIONYCH OKRETOW. Przeł. A. Galis. „Iskry”, s. 236, cena zł 15.

Trzecie wydanie przygodowej powieści związanej z podróżami mor-

skimi. Posmak sensacji, żywy tok akcji.

Franz Kafka: LISTY DO MILENY. Wyd. Literackie, s. 262, cena zł 16.

Swoiste arcydzieło literatury epistolarniej, ukazujące miłość niemieckiego pisarza do tłumaczki swych utworów na język czeski — Mileny Jesenskiej. Jest to zarazem próba samookreślenia Kafki i świadectwo jego niełatwych przeżyć.

Edmund Niziuski: AWANTURA W NIEKŁAJU. Wyd. Łódzkie, s. 345, cena zł 25.

Wznowienie interesującej powieści przeznaczonej dla młodszych czytelników, nagrodzonej w 1960 roku w konkursie „Naszej Księgarni”.

Artur Conan Doyle: 3 X SHERLOCK HOLMES. „Iskry”, s. 452, cena zł 60.

Kolejne wydanie trzech dłuższych utworów angielskiego klasyka kryminału. Zawiera powieści: „Studium w szkarłat”, „Znak czterech” oraz „Pies Baskerville’ów”. Przełożył Tadeusz Ewert, Krystyna Jurasz-Dąbka oraz anonim.

Stanisław Trandziuk: DOKSZTAŁCANIE I DOSKONALENIE ZAWO-

DOWE PRACUJĄCYCH. Podstawy prawne. Wyd. CRZZ, s. 350, cena zł 30.

Książka ujmująca następujące zagadnienia: zasady dokształcania, wymagania kwalifikacyjne w zakresie szkoły podstawowej, średniej, wyższej oraz w zakresie przygotowania zawodowego, z kolei omawia niektóre formy doskonalenia i dokształcania oraz egzaminy kwalifikacyjne.

Państwowe Wydawnictwo Rolnictwa i Leśnictwa prezentuje:

Zygmunt Obmiński: PODSTAWY BIOLOGII OGÓLNEJ DLA LEŚNIKÓW, s. 256, cena zł 40.

Zbigniew Kozar: WYSTĘPOWANIE WŁOSNIKI W POLSCE I JEJ ZWALCZANIE. Postęp w weterynarii, s. 344, cena zł 35.

Andrzej Białecki: TECHNOLOGIA PRODUKCJI ZAPALEK, s. 144, cena zł 25.

T. Zuliński, B. Rubaj, T. Ziolo: OGÓLNA ANATOMIA PATOLOGICZNA ZWIERZĄT DOMOWYCH. Podręcznik dla studentów wydziałów weterynarii WSR, s. 189, cena zł 25.

Józef Kuczyński: EFEKTYWNOŚĆ PROBLEMOWEGO NAUCZANIA PRZEDMIOTÓW ROLNICZYCH W ZESPOŁACH UCZNIOWSKICH, s. 226, cena zł 35.

Nowości Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego:

WYBRANE ZAGADNIENIA ROZWOJU KULTURY W POLSCE. Zbiór artykułów, s. 156, cena zł 26.

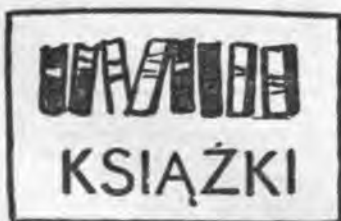
PORADNIK PRACOWNIKA KULTURALNO-OSWIATOWEGO. Nr 12, s. 238, cena zł 30.

Maria Drabecka: TAŃCE HISTORYCZNE, s. 226 + Kinetogramy, cena zł 58.

Wiesław Stradomski: REALIZACJA FILMU AMATORSKIEGO, s. 114, cena zł 20.

Orkiestra taneczna lub zespół gitarowy: ZAZDROŚNIK, NAREZCIE MAM CHŁOPCA, I SNIEG I WARSZAWA I MY, WESELE KRYSI, Cena zł 12.

Janina Pudełek: Z HISTORII BALETU, s. 168, cena zł 20.



Jerzy Putrament: BOLDYN. KiW, s. 465, cena zł 35.

W swej nowej powieści autor podejmuje tematykę okupacyjną, ale jak sam wypowiada się na temat swej książki, stara się stworzyć „studium psychiki ludzkiej poddanej wielkim przeciężeniom — władzą, odpowiedzialnością”.

Irina Griekowa: OGNIOWE PROBY. PIW, s. 212, cena zł 13.

Griekowa znana jest polskiemu czytelnikowi jako autorka opowiadań. Prezentowany debiut powieściowy jest odbiciem doświadczeń autorki jako naukowca-fizyka. Losy bohaterów z doświadczonego poligonu



## Kartki dla Ewy

## Książki

Od czasu do czasu przeżyłam rozterkę z powodu książek, najczęściej wtedy, gdy stwierdzam brak gotówki na kupno większej ilości interesujących mnie wydawnictw. Statystyczna pensja nie pozwala na rozrzutność. Jedna, dwie książeczki miesięcznie i to wcale nie najdroższe. Kompletowanie księgozbioru w tym tempie trwać może do późnej starości. A wtedy, wątpliwe czy nasza biblioteka akurat zacieka wi wnuki. Może braknie im czasu na lekturę sprzed pół wieku, będą mieć kompletnie inne zainteresowania. Wszystko może się zdarzyć. Kiedyś wbijano mi do głowy, że atom jest najmniejszą, absolutnie niepodzielną cząstką materii. Uplęno parę latków no i proszę, okazało się, że to wcale nieprawda.

Myślę sobie, co by też było, gdyby raz w miesiącu dostarczono mi paczkę nowości wydawniczych. Piękne marzenia rozbijają się o rzeczywistość. Po pierwsze brak czasu na czytanie. Tutaj zawsze ma się zaległości, które trudno odrobić nawet w czasie urlopu lub przewlekłej anginy. Po drugie, niedługo w skromnym M-3 brakłoby miejsca na książki. Smutna prawda, niestety.

Swego czasu przeprowadzałam się. W wydarzeniu tym uczestniczył niejaki pan Stefcio. Przydzwigawszy na górę kolejną paczkę z książkami otarł pot z czoła i zaproponował: „Sprzedaj to pani na makulaturę, luz w mieszkaniu będzie i na metr ómgi starczy”.

W swoim wielce „użytecznym” stosunku do domowej biblioteki pan Stefcio nie był żadnym wyjątkiem. Zdarza się, że ludzie nie uznają książek traktując je jako zbędny balast dla umysłu i kieszeni, niepotrzebne zagracanie mieszkania, magazyn kurzu. Przegrali oni chyba jakąś cząstkę życia. Chwilę wzruszenia, zadumy, moment wypoczynku i ucieczki od powszednich kłopotów. A przecież nie chodzi o uginające się regały, o zastawienie wszystkich wolnych kątów. Od tego są księgarnie, biblioteki, antykwariaty. Chodzi o te kilka książek, które po prostu lubi się, które zostawiły ślad w psychice, lub stanowiły wzorzec postępowania. Bo przecież często ułożam się z bohaterami powieści. Żyją oni dla nas na wielu kartach papieru, w różnych formatach książek. Kochamy ich, nienawidzimy, analizujemy postępowanie, zawzięcie dyskutujemy.

Na marginesie „Przemięło z wiatrem”, książki, która po biła wszelkie rekordy popularności wyczytałam: „Idiotka! Kopnąć w...”. Widać krewki czytelnik nie mógł znieść poczynań Scarlett O'Hara. Dowodzi to, jak gorąco potrafimy pasjonować się czymś, co jest tylko tworem wyobraźni autorskiej.

Brzydko pisać na książkach, ale w jakimś sensie usprawiedliwiam tych, którzy to robią. Uwagi ich choć prymitywne dowodzą świeżości reakcji, ciekawości. Każą się domyślać, że kiedyś sięgną po inną lekturę. Z czytaniem książek jest tak, jak z chodzeniem po górach. Nie można zacząć od karkołomnej wspinaczki, najpierw trzeba spacerować po regałach, poznawać ścieżki wiodące na wyżyny. Czasem ktoś w tym pomaga, ale najczęściej dochodzi się samemu. Jeśli jest oczywiście ta odrobina pasji, która każe w każdej następnej książce szukać uzupełnienia poprzedniej.

Szukamy więc lata całe, gdyż myśl ludzka jest nieprzebrana. Odkrywamy swoje światy w poezji i prozie, w naukowych rozprawach i dziełach filozofów. Jedne książki czytamy w podróży, drugie u dentysty. Inne na dobranoc i inne w samotności...

Bega



JANINA FRONCOWICZ — bibliotekarka w Międzyzakładowym Klubie Łącznościowców.

Rys. J. SIENKIEWICZ

## Najlepszy rysunek i grafika kwietnia

Stosunkowo mało bo tylko 11 prac wpłynęło w ubiegłym miesiącu na konkurs pt. „Najlepszy rysunek i grafika miesiąca”, którego rozstrzygnięcie nastąpiło 29 kwietnia br. Jury pod przewodnictwem artysty plastyka Zdzisława Ostrowskiego I nagrodę w dziale rysunku przyznało Stanisławowi Kuci za pracę pt. „Bilet miesięczny” — go-dło „Jasia”.

W dziale grafiki dwie I nagrody przyznano Bożenie Korskiej za pracę pt. „Oczekiwanie” godło „Centaur” — akwaforta i Włodzimierzowi Kotkowskiemu za pracę pt. „Śmierć słonecznika” — go-dło „Ptak” — mezzotinta.

Wystawa prac czynna jest w kawiarni rzeszowskiego MPiK-u w godzinach od 9—22.

(am)

## RECENZJA FILMOWA

# OSTATNIE DNI

Koniec kwietnia roku 1945. Pierwsza Armia Wojska Polskiego, działająca w ramach Frontu Białoruskiego, zbliża się do Berlina tocząc po drodze zacietę boje z hitlerowskimi jednostkami pancernymi, które pod dowództwem generała Steinera spieszą na odsiecz stolicy Trzeciej Rzeszy. Wkrótce armia Steinera jest rozbita, oddziały radzieckie i polskie walczą na ulicach miasta. W dniu 2 maja następuje kapitulacja załogi berlińskiej, na Bramie Brandenburskiej zwycięzcy zatykają dwie flagi — radziecką i polską.

Na tym historycznym tle rozgrywa się akcja „Ostatnich dni”, które są drugą częścią filmu „Kierunek Berlin” i które ukazują dalsze losy żołnierzy z kompanii porucznika Kaczmarka (Krzysztof Chamiec). Szczególnie obszernie są tu przedstawione wojenne przygody kaprala Naroga (Wojciech Siemion), w które wpleciono sporo problemów natury ogólnej, jak np. sprawa Polaków wywiezionych na roboty do Niemiec, sprawa starej Polonii niemiec-

kiej, prześladowanej przez Hitlera.

Podobnie jak film „Kierunek Berlin” — „Ostatnie dni” nie tylko sławia czyny bohaterów naszego żołnierza, lecz ukazują go również jako zwycięzcę, przypominają o jego wielkim udziale w ostatecznym rozgromieniu hitlerowskiej potęgi. Pod względem stylistycznym są mieszanką widowiska batalistycznego z żołnierską legendą frontową.

Ze względu na ogromną rolę, jaką tego rodzaju film ma do spełnienia, kryteria naszych ocen powinny być szczególnie ostre. Nie możemy zadowalać się namiastką, powierzchniowo tylko spełniającą wymogi ekranowej epiki przez ukazywanie ludzkich stereotypów w sytuacjach dość wątpliwych, jeżeli chodzi o autentyzm. Niestety, „Ostatnie dni” nasuwają pod tym względem znacznie więcej zastrzeżeń niż „Kierunek Berlin”, który to film przy wszystkich swych walorach fabularyzowanego dokumentu nie spełniał przecież naszych oczekiwań. W „Ostatnich

dniach” nawet batalistka jest gorsza, jakaś nieporadna, inscenizowana z widocznym wysiłkiem, przez co mało sugestywna. Wmontowane do epizodów berlińskich autentyczne zdjęcia ze starych kronik frontowych jeszcze bardziej podkreślają niedomogi batalistyki filmowej.

Znacznie wyraźniej niż w „Kierunku Berlin” występują tu również dramaturgiczne uproszczenia, które sprawiają, że film staje się w niektórych partiach czymś w rodzaju katalogu problemów, którym oczywiście nie wzruszy się widz najbardziej nawet na te sprawy uczulony. Autentyzm opowieści frontowej został tu też poważnie naruszony przez tak bezsensowne anegdoty, jak np. historyjka z butelką bimbru. Kiedy kapral Naróg spotyka przypadkowo pod Berlinem swego ojca, który służy w taborach, ten wyciąga natychmiast z jednej kieszeni płaszcz kielbasę, z drugiej — litrową butelkę polskiego bimbru, z którą nie rozstał się widocznie ani na chwilę przez całą drogę frontową z

Lublina aż do Berlina. Tak naiwne pomysły odbierają oczywiście filmowi walory żołnierskiej legendy.

Dość poważne niedomogi konstrukcyjne filmu, dramaturgiczne słabości i przede wszystkim pośpieszenie, jak gdyby przypadkowo tylko naszkicowane sylwetki bohaterów — wszystko to odbija się niekorzystnie na aktorstwie: Dobrzy skądinąd aktorzy nie mogą się w tych warunkach zdobyć na nic więcej niż przeciętność.

W ekranowej rekonstrukcji historycznych wydarzeń, w fabularyzowanym dokumencie, musi też być prawda ludzkich przeżyć. Jeżeli jej zabraknie, tak jak zabrakło „Ostatnim dniom”, film nigdy nie osiągnie temperatury eposu i będzie jedynie mniej lub więcej udanym zestawem ilustracji. Ponieważ autorów „Kierunku Berlin” i „Ostatnich dni” stać na coś więcej — miejmy nadzieję, że ich następne filmy z tak pożądaną serią fabularyzowanych dokumentów o udziale polskiego żołnierza w II wojnie światowej będą miały rangę dzieła sztuki.

CZESŁAW MICHAŁSKI

„Ostatnie dni” — film produkcji polskiej, zrealizowany w roku 1969. Scenariusz — Wojciech Zukrowski i Jerzy Passendorfer. Reżyseria — Jerzy Passendorfer. Zdjęcia — Kazimierz Konrad. Muzyka — Adam Walański. Wykonawcy: Wojciech Siemion, Jerzy Jogalla, Krzysztof Chamiec, Marian Łącz, Wiesława Kwaśniewska i inni.

## Życie na oceanie

Książki Gerarda Górnickiego, pisarza silnie związanego z Rzeszowszczyzną, zdobyły nie tylko uznanie krytyki literackiej, lecz również — a to chyba najważniejsze — znaczną popularność wśród czytelników. Jego ostatnia powieść pt. „Dom na Pacyfiku” (patrz: rozmowa z autorem w nr 3 „Widnokręgu” z dnia 19 stycznia br.) także szybko znikła z księgarskich półek.

W „Domu na Pacyfiku” znaleźć można wszystkie charakterystyczne cechy stylu Górnickiego, tj. rzeczowość i komunikatywność języka, połączone z subtelną analizą psychiki bohaterów i autentyzmem ich przeżyć. Jest to jednak książka inna od dotychczasowych, bardziej wielowarstwowa, uniwersalna i mimo maksymalnego skondensowania treści (liczy sobie bowiem zaledwie 190 małego formatu stronic będąca nośnikiem większego ładunku intelektualnego. Pod tym względem przypomina nieco dzieła Alberta Camusa — niewielkie objętościowo, lecz zawierające multum filozoficznych przemyśleń (paralela tutaj jednak się kończy, bowiem los bohaterów Camusa w ostatecznym rachunku zależy przede wszystkim od nich samych, a klęska pozostaje klęską indywidualną, natomiast nad psychiką Pawła z powieści Górnickiego zaciążyły przeżycia „czasu pogardy”). „Dom na Pacyfiku” można odczytywać i interpretować w różny sposób, zależnie od predyspozycji psychicznych i sumy życiowego doświadczenia — jako baśń o nieudanej miłości, skazanej zanim powstała, jako faustowski dramat...

Okupacja została potraktowana przez Górnickiego w sposób niekonwencjonalny: pozornie nie ma tutaj wielkich dramatów walki, nawet śmierć krzyczy tylko ciszą. Tytuł książki jest oczywiście przenośnią. Grupa ludzi zostaje rzucona na ocean wojny, bohater po ucieczce z obozu szuka azylu w domu swego przyjaciela, który pozostał za drutami. Ale nie można znaleźć prawdziwego schronienia w domu na oceanie, trudno też z niego uciec; wojna jawi się jako fatum, ciężące nad losami ludzkich drobni i determinujące ich postępowanie.

Paweł po obozowym szoku żyje jakby w zawieszaniu, włącza się w biegnące obok życie i walkę „zrywami” lub daje się unosić fali — istotne nieraz sprawy przepływają niezauważone, a pamięć rejestruje zjawiska wyrwykowo, nie selekcjonując ich według obiektywnej wartości; powstają uparte skojarzenia, łączące przeszłość z teraźniejszością, powtarzające się motywy — refreny, trochę jak w uszkodzonej płytce. Narracja oddaje ten stan bohatera w sposób bardzo prawdziwy.

Bohater książki jest Anonimem — obdarzonym imieniem i dzięki temu bardziej poznawalnym: jednym z wielu, którym wojna odebrała młodość, dając w zamian tylko gorzkie doświadczenia, a każde zwycięstwo zrównała z klęską

JULIAN RATAJCZAK

Gerard Górnicki — „Dom na Pacyfiku” — Wydawnictwo Poznańskie 1969 r. Wydanie I, nakład 10 000 egz., cena 14,- zł.